Cena 35 fen. = 25 cent.

Nr. 10. Rok V.

ŚWIATŁO

Pismo ilustrowane dla ludu



Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „KATOLIKA" Bytom.

Treść zeszytu 10.

ŚWIATŁO

Rok V. Bytom G.-Sz., 1. Października 1891. **Nr. 10.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi raz na miesiąc 1-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi na poczcie lub w Eksp. „Katolika“ **1 m.** Zeszyt pojedyńczy kosztuje 35 fen. = 25 cent. — „ŚWIATŁO“ zapisane jest w liście pocztowej pod Nr. 81. (Zeitungs-Preisliste Nr. 81.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

SPEŁNIONA WRÓŻBA.

Zimny wicher jesienny, świszcząc i wyjąc, pędził po niebie ciężkie chmury, które zwieszone nisko, siały drobny, gęsty i przenikliwy deszcz na żyzną, kujawską ziemię.

Drogą, wysadzoną rozłożystemi wierzbami, brnąc w błocie po kostki, szedł samotny wędrowiec, w którym każdy poznałby od razu Cygana, tak miał ciemną cerę twarzy, krucze włosy i wielkie czarne oczy, rzucające w tej chwili bystre, przebiegłe i niespokojne wejrzenia.

Idąc, mruczał coś gniewnie pod nosem, wywijał sękatym kijem i dzwonił zębami, bo ubranie biedaka było lekkie, zniszczone i zupełnie przemokłe. Im dalej, tem humor wędrowca stawał się gorszy; dopiero, gdy z za niewielkiego borku, wynużyła się duża wieś Dąbrowa, na twarzy Cygana błysnęło zadowolenie; przyspieszył kroku i niebawem znalazł się we wsi.

Była to właśnie niedziela i blisko południe; Dąbrowa wydawała się zupełnie pustą, nigdzie żywego ducha, bo Kujawiacy to pobożny ludek, więc każdy, kto mógł, spieszył do kościoła, wznoszącego na końcu wsi wysmukłe wieżyce ku niebu.

Wędrowiec nasz szukał jednak widocznie jakiegoś innego przybytku, gdyż pilnie rozglądał się po wsi, aż spostrzegłszy dom, na którym przybita była tablica z wymalowaną na niej flaszką i kuflem piwa, wszedł spiesznie do środka.

Za szynkwasem siedział stary gościnny, ziewając z nudów; ucieszył się też słysząc czyjeś kroki w sieni, ale gdy spostrzegł obdartego Cygana, skrzywił się trochę i zapytał niebardzo grzecznie.

— A czego to potrzeba?

Podróżny zbliżył się spokojnie do komina, na którym suty palił się ogień, wyciągnął ręce nad płomieniem i odrzekł w łamanym polskim języku:

— A czegoby ja od was chciał? Oto wszedłem do karczmy jak każdy, posilić się, ograć i wypocząć.

Następnie zażądał wódki, którą wypił chciwie, przekąsił chlebem, zapłacił za posiłek i widząc, że rzeczy już przeschły, prosił karczmarza, czyby się nie mógł przespać za piecem, na wiązce słomy, która zdaje się, służyła niejednemu podróżnemu za posłanie.

Karczmarz skinął głową przyzwalająco, Cygan legł na słomie i wkrótce zasnął pewnie głęboko, bo leżał jak kamień oddychając równo i wolno.

Niebawem ozwało się za oknem chlupotanie błota pod wielu nogami i liczne głosy; gromada ludzi, którzy, wyszedłszy z kościoła, dążyli prosto do karczmy. Bo taki to niedobry jest zwyczaj ludu naszego po wsiach i miasteczkach, że ledwo opuści dom Boży, spieszy czemprędzej do karczmy, do tej szatańskiej kaplicy, gdzie już dziesiątki i setki ludzi zatraciło duszę i majątek. Taki też zły zwyczaj istniał w Dąbrowie; wnet cała, duża izba karczemna zapełniła się po brzegi; byli tam mężczyzni i kobiety, bogaci i ubodzy, starzy i młodzi, ba! nawet i dzieci.

Gościnny, choć sześćdziesiąty krzyżyk dźwigał na barkach, krzątał się żwawo po izbie; witał gości, podawał wódkę i piwo, wołając raz po raz na pomagającą mu wnuczkę:

— Jagna, a pójdź no tu, niecnoto, i posłuż panom gospodarzom.

Ale Jagnę ciągnęły za rękawy i fartuch gosposie, upominając się o zamówioną kawę i bułki.

Spokojne zrazu rozmowy, zamieniły się wkrótce we wrzaski, krzyki i sprzeczki. Każdy chciał mówić, a nikt nie myślał słuchać; jeden przez drugiego opowiadał, co słyszał w miasteczku, na weselu, chrzcinach i t. d. Skarzono się na ciężkie czasy, nieurodzaj, złych sąsiadów i wiele innych rzeczy.

Ktoby się był uważnie przysłuchał tym rozmowom, dowiedziałby się wszystkiego, co się dzieje, nietylko w Dąbrowie, ale w całej parafii. O podróżnym, leżącym za piecem, nikt nie wiedział; gościnny zapomniał o nim pewnie, a Cygan leżał jak kłoda, nie poruszając się wcale. Gdyby mu się jednak kto przypatrzył, spostrzegłby, jak nadstawia uszu, aby wszystko słyszeć.

Głos dzwonów, wzywający na nieszpór, przypomniał zebranym, że południe dawno minęło. Ruszyli się więc prawie wszyscy i tłumnie jęli opuszczać karczmę; jedni dążyli do domu, drudzy do kościoła, a ledwo kilku znanych powszechnie pijaków zostało w izbie.

W godzinę później ozwały się głosy wracających z nieszporu a jeden z pijących, spojrzawszy w okno, zawołał:

— O, o, co się to stało sołtysowi! toć on prosto wali do karczmy ze starym Wojciechem.

Po chwili drzwi się otwarły i sołtys Bartłomiej Skiba wszedł do izby, a za nim wysoki, siwy chłop, dumnie spoglądający wokoło, i kilku starszych gospodarzy.

Karczmarz poskoczył ku wchodzącym i mówił z radością:

— Witajcie sołtysie i wy Wojciechu do nas! A czego się napijecie? Mam dobrą wódkę, dubeltowe piwo i wino się znajdzie, jak zażądacie.

— Czego się napijemy? — spytał Skiba Wojciecha.

— Ja to chyba kufelek piwa; wiecie, że wódki nie piję — odparł stary Wojciech, najbogatszy gospodarz w Dąbrowie, który karczmę odwiedzał tylko wtedy, gdy miał jaki interes do załatwienia, a w domu nie mógł tego uczynić.

— Niechże będzie piwo dla komotra, ale ja napiję się tej słodkiej, czerwonej; kiedy zalać robaka, to już czem dobrem.

Wnet stanęła na stole wódka i piwo a jeden z dawniejszych gości zawołał:

— Co wam tam Bartłomieju! Jakiego wy robaka macie do zalania? Żeby ja tak miał jak wy sto dwadzieścia morgów ziemi i garniec talarów, zakopany w sadzie, tobym dobrą wódkę pijał ino z uciechy, nie zaś....

— A żeby wam kobieta była chora, tak jak mnie, już drugi kwartał — przerwał Skiba — żeby wam syna jedynaka wzięli do wojska i nie miał kto w doglądaniu do gospodarstwa wyręczyć, a córka, jedyna w domu pociecha, uparła się jak kozioł, tobyście już pewnie w karczmie mieszkali; bo tak już w niej po całych dniach siedzicie — dokończył sołtys półgłosem.

— Nie, nie, sołtysie — zawołał inny z gospodarzy — już to wam narzekać nie przystoi: kobieta zachorowała, to wyzdrowieje, syn poszedł do wojska, to i wróci, a tymczasem Antek go wam zastąpi! Takiego drugiego i ze świecą nie znajdzie.

Skrzywił się Bartłomiej na wspomnienie Antka, bo choć to był najpracowitszy i najwierniejszy sługa, ludzie sobie szeptali, że mu się sołtysianka okrutnie podoba; a Kachna miała iść koniecznie, z woli rodziców, za wnuka Wojciechowego, bogatego Maciosia; więc też sołtys mówił z niechęcią:

— Dobry Antek jest do roboty i pilnuje mego dobra, jak swego, dla tego też cierpię go w domu, ale niechno Jędruś mój wróci od wojska, damy sobie radę z Piotrem, drugim parobkiem; Antek może sobie szukać innego miejsca.

— Już jabym wolał wygnać Piotra, a Antka ostawić — rzekł jeden z późniejszych gości. — Ten wasz drugi parobek, to wierutne ladaco; w kościele go prawie nie widać, ale za to, jak może, bieży do karczmy i tak wiele pije, aż mi dziwno, zkąd go stać na to. Wierzcie mi sołtysie, jabym Piotra i tygodnia nie trzymał.

— Ba! dobrze wam tak mówić, że czeladzi nie potrzebujecie. Teraz o robotnika trudno. Piotr nie święty, ale aby rąk do roboty nie żałuje.

— To może i grzech trzymać takiego sługę, co bez Boga żyje — zawołał ktoś z tłumu.

— Pewnie, że grzech — dodał ktoś drugi — i taki karę Bożą ściągnie.

— Każdy robi, jak mu się widzi najlepiej — krzyknął stary Wojciech z gniewem i przypił do sołtysa, który szepnął:

— Chodźma kumie do domu; odprowadzę was kawałek, to się rozmówimy — i wychyliwszy resztę wódki wyszedł razem z Wojciechem z karczmy.

Ledwo się drzwi za nimi zamknęły, pozostali roześmiali się chórem i wołali jeden przez drugiego:

— Widzieliście jak się krzywił na Antka?

— A ten biedny sierota jak ojcu pracuje!

— Patrzcie, jak się prędko wyniósł!

— Nie daliście mu robaka zalać!

— Ba! taki bogacz! Co mu tam z czem za bieda!

— Ma on, ma utrapienie z Kachną, bo to kozak, nie dziewczyna.

— Że on to dziś przyszedł do karczmy?

— Może go Wojciech wciągnął; pewnie mu chciał co powiedzieć o panu Maciosiu.

— Pewnie; bo to sołtys w karczmie gość rzadki.

Prawdę mówili Dąbrowianie, gdyż sołtys Skiba porządnym był i zawołanym gospodarzem; wódki nie pijał, po jarmarkach nie jeździł, a pracował, jak mrówka. Opowiadali też o nim ludzie, że ma całą miarę talarów zakopaną, że córkę wyda tylko za surdutowego i to za Maciosia Wojciechowego, który się gdzieś przebrał w świecie i ma dom o czterech pokojach i białe firanki w oknach. Ale jakto nie ma człowieka bez wady, tak miał ich aż trzy nasz Bartłomiej; gdyż oprócz pychy, która mu kazała szukać dla córki męża w surducie, był poczciwy sołtys zabobonny i bojaźliwy, jak baba. Skiba wierzył w sny, czarownice, uroki, wróżby, mądrych i w tysiące innych podobnych głupstw; a jak się zciemniało, nie byłby wyszedł na dwór, choćby mu kto obiecał talara, za którym znowu w jasny dzień poszedłby na koniec świata.

W kilka minut po wyjściu sołtysa, drzwi karczmy otworzyły się z cicha i jakiś tęgi parobczak ze zuchowatą miną wsunął się ostróżnie do izby.

— Piotrek, Piotrek — zaczęli wołać zgromadzeni, ledwo go ujrzeli — a to wam zwąchał, że gospodarza tu nie ma.

— Cóż tam słychać nowego? — wrzeszczeli inni — bo ty Piotrusiu to wiesz, jak trawa rośnie i gdzie rogaty ma młode.

— Gadaj, gadaj, co tam nowego — powtarzali wszyscy, a za piecem jakby się coś ruszyło.

— Wódki bym się napił — odrzekł wesoło Piotr, uderzając pięścią o stół.

— To nic nowego — wołali goście a karczmarz krzyknął:

— Jagna, niecnoto, a podaj tu ino półkwarty tej słodkiej Piotrkowi; pracuje on jak wół u tego chciwca sołtysa, niech się pokrzepi biedny sierota.

— Oj, co biedny, to biedny — mówił po chwili Piotr, rozglądając się około i popijając wódkę, która prędko znikała z flaszki — a nikt się nie użali nad sierotą, jeszcze marnotrawnikiem i pijanicą mnie nazywają...

— No, Piotrek, co prawda, to nie grzech — zawołał ten sam gospodarz, co to przed sołtysem Piotra ganił — choćbyś ty miał miarę talarów sołtysowych, wnetbyś je przepuścił przez gardło; powiedz, czy nieprawda?

— Ino mi ciągle nie wspominajcie tego skąpego bogacza — wrzasnął Piotr cały czerwony — mnie nie chciał dać naprzód zasług, bo — mówi — zboże jeszcze nie wymłócone, to o pieniądze trudno. A szelma! nie wie, że ja widziałem, jak kwartą mierzył złote pieniądze...

— Co? kwartą mierzył złoto? widziałeś sam na własne oczy? — zakrzyknęło kilka głosów i wszyscy przysunęli się do podpiłego parobka. Piotr zaś, spojrzawszy po otaczających go, mówił:

— Może mi nie wierzycie, co? Ja nie taki dureń, co to nic nie wie, co się koło niego dzieje; ho, ho! wiem ja jeszcze więcej! może mi nie wierzycie co?

— Wierzymy ci, wierzymy; zaś ty miałbyś czego nie wiedzieć — wołali chłopi — więc to mówisz, że sołtys mierzył złote pieniądze?

— Jak nie mam mówić, kiedy widziałem, jak was widzę.

— I gdzie je mierzył, gdzie?

— Gościnny dajcie no jeszcze półkwarty, to wam wszystko dokumentnie opowiem; ho, ho! ja jeszcze wiem więcej — przechwalał się Piotr i, wychyliwszy resztę wódki, podał flaszkę nadbiegającej Jagnie; sam zaś zwróciwszy się do słuchających go pilnie, mówił:

— Zdawna ja słyszałem, jako sołtys ma jeszcze po swoim ojcu i z posagu sołtysowej zaśniedziałe talary, ino nie wiedziałem, gdzie je chowa, bo ludzie różnie prawili. Piotrek — mówię sobie — ty się musisz dowiedzieć, i zacząłem podpatrywać gospodarza, jak tylko co sprzedał, jużem go z oka nie spuszczał; gdy się na wieczór ze światłem gdzie ruszył, ja za nim; ale długo nic i nic; aż w ostatni oto wtorek wchodzę ja do izby po chleb, a gospodarz powiada: — Piotrek zaprzągaj, pojedziemy do miasta. — A po co sołtysie? — Kpie jeden! co ci się będę sprawował — krzyknął na mnie rozindyczony — mam interes i kwita; a teraz wynoś mi się, bo... — Coś ty taki zły? miarkuję sobie i zamykając drzwi zerknę do izby, a mój gospodarz kręci kluczem w kłódce, co to nim zamyka komorę. Po co ty tam idziesz? — tknęło mnie zaraz — w tej komorze chowają odświetne przyodziewki, pierze, płótno, kożuchy, Kaścyne korale i te talerze w kwiaty, co mają też być dla Kachny; przecie tego sołtys do miasta, do powiatu nie powiezie. Okrutnie mnie ciekawość paliła, ale musiałem zaprzągnąć. Dopiero jak gospodarz siada na wóz, tak wam dźwiga coś we worku, aż stęka. Aha! — pomyślałem sobie — talary wiezie do kasy; o mądry szelma! Markotno mi się zrobiło, że teraz, kiedym wiedział, gdzie pieniądze chowa, wywozi je z domu. W mieście siedzieliśmy długo, a kiedy ruszyliśmy z powrotem, to sołtys ino woła: — jedź Piotrek, jedź, bo broń Boże, jeszcze nas noc na drodze zaskoczy; jedź chłopcze, jedź — a raz wraz łapie coś pod kożuchem na piersiach. Tam do kata! — miarkuję sobie — co on wiezie, co on kupił za te talary? Chociem pospieszał, ciemno już było, gdy stanęliśmy w domu. Gospodarz do chałupy a ja pod okno; patrzę, patrzę, a on prosto do komory idzie, ino lampkę bierze ze sobą, bo to sołtys kroku o ciemku nie zrobi. Że to mam z przyrodzenia do wszystkiego ciekawość, więc żug pod okienko do komory; wiecie, że tam pod ścianą

rośnie srogi kierz bzu, wlazłem tedy w kierz i glądam. A tu wam, aż mi się w oczach zaćmiło! sołtys stoi przy skrzyni i z worka złote pieniądze w garnek sypie; garnek nakrył pokrywą, jak perki i idzie do kąta. Przycisnąłem gębę do szyby, aż mi się nos spłaszczył, a mój gospodarz wpuszcza garnek w ziemię, snać już miał dziurę wykopaną, nasypał na wierzch ziemi, przygładził ręką i szelma, ani zgadniecie, co zrobił! dla niepoznaku postawił na tem miejscu beczkę z pierzem i miał się ku izbie. Więc ja wylazłem z krza i dalej do koni; nie trwało pacierza jużem im obrok zasypywał w stajni, a w duchu sobie medytowałem, jaki ten sołtys mądry; pewnie już garnek był za mały do talarów, więc je zamienił na złoto.

Głucha cisza panowała w karczmie podczas opowiadania pijanego Piotrka, który skończywszy mówić, jął patrzeć chełpliwie po wszystkich. Po długiej chwili dopiero, odezwał się jeden z gospodarzy:

— Bajesz Piotrku! zaśby tam Bartłomiej miał garnek złotych pieniędzy.

— Co nie wierzycie mi? — wrzasnął zaperzony Piotr — żebym się z tego miejsca nie ruszył, żebym.... — i jął się zaklinać tak strasznie, aż go starsi mitygować musieli i powtarzać, że mu wszystko wierzą, co mówił.

— Patrzcie sołtysa, co to za bogacz, a tak tu stękał, jak najuboższy chudzina — mówili ci, co uwierzyli Piotrkowi, i wypytywali się go coraz natarczywiej, a parobek nie żałował gęby, aż nie opowiedział wszystkiego, co się dzieje w domu. Mówił tedy, jak dawno miewa sołtyska zimno, ilu Kachna młodzieńców odprawiła, jak Skiba pragnie Maciosia mieć za zięcia, a dziewusze pozwala dokazywać i robić wszystko, co jej do głowy przyjdzie, jak Antek pracuje, przypochlebia się i o Kachnie myśli, a ona bodaj czy się w nim nie zadłużyła itd.

Po dziesiątej już było, gdy nareszcie Piotrek zamilkł i ruszył do domu a za nim wszyscy. Gościnny posprzątał flaszki, kufle i kieliszki, przeliczył pieniądze i zabrał je z sobą; następnie, zamknąwszy drzwi, zmierzał do drugiej izby, gdy rzuciwszy okiem za piec, spostrzegł śpiącego Cygana.

— Rety, czy ten włóczęga aby żyje — zawołał i jął bez ceremonii szturchać śpiącego nogą, ale ten ani nie drgnął; wtedy zaświecił mu w oczy i szarpiąc z całej siły wołał:

— Hej! wstawajcie podróżny; co u licha! żyjecie lub nie żyjecie?

Teraz Cygan otworzył oczy, zerwał się na równe nogi i krzyknął niby okrutnie przestraszony:

— Co wy mnie robicie, ludzie ratujcie! gwałtu!

— Cicho bądźcie! nikt wam głowy nie urywa; ale śpicie, jak kłoda, już od południa, a teraz późny wieczór.

— Toć mnie nie wyganiajcie na noc; ja dwie noce już nie spał; dajcie co zjeść i przespać się do rana; ja wszystko zapłacę. Ale, że to przy niedzieli gości nie macie?

— Zaśbym gości miał nie mieć! byli, ale już odeszli. Zaraz Jagna przyniesie wieczerzę, to się posilicie.

Kiedy zasiedli przy misce, karczmarz spytał Cygana:

— A gdzie to Pan Bóg prowadzi?

— Ja tu do miasteczka przyciągnął za swoimi; znaleźliśmy trochę roboty, ale teraz trzeba nam dalej. Chcieliśmy wstąpić do Dąbrowy, jeno, że nam trochę z drogi... więc sam się wybrałem dowiedzieć, czy tu co zarobimy, czy kowal we wsi.

— Kowala mamy, aleć zawsze się coś do zrobienia znajdzie — odparł karczmarz — wy też umiecie zażegnywać, wróżyć, to wam ludzie będą radzi.

— O tak, my dość potrafimy. Jest u nas jedna stara matka, ta wszystko wie, co kogo spotka, chorobę każdą zażegna... już ją niejeden błogosławił... Ale ona nie wszędzie chce iść. Do Dąbrowy może jednak wstąpi, jak powiem, że tu dobrzy ludzie.

— Pewnie, że nie będziecie żałować, jak do nas wstąpicie; u mnie tanio dostaniecie wszystkiego, i przenocuję was chętnie za parę groszy.

— To i dobrze — mruknął Cygan, a podziękowawszy za posiłek, legł znowu za piecem. Nazajutrz zaś ledwo zaczęło świtać, wstał, zapłacił karczmarzowi i ruszył z powrotem do miasteczka. (Dalszy ciąg nastąpi.)

O STARYCH SŁOWIANACH.

(Ciąg dalszy.)

Sobótki albo Kupało.

Jak w pierwsze główne gody t. j. Kolędy święcili Słowianie nowonarodzenie słońca czyli przybywanie światła, a wiosenne święta były dalszym ciągiem uroczystości kolędą rozpoczętych; tak w drugie główne gody, w dobie najdłuższego światła dziennego, wśród gorącego lata i w czasie obfitości urodzajów, święcono potęgę i działalność słońca, kiedy w najwyższym swym stanie na niebie okazuje najświetniej swe znaczenie dla ziemi. Sobótki przypadały więc

na dzień 24. czerwca, a zabytkiem ich są tak zwane święto-jańskie ognie, dlatego tak nazwane, iż teraz przypadają na dzień św. Jana Chrzciciela. Zwyczaj zapalania tych ogni świętojańskich na pagórkach, polach, granicach, w lasach, przyczem skaczą koło nich i przez nie i rzucają wieńcami, znany jest dotąd we wszystkich krajach słowiańskich pomimo wydanych nieraz zakazów; lecz lud właściwego ich znaczenia już nie pamięta i urządza je tylko dla zabawy.

Co zachowana dotąd pogańska nazwa »Sobótki« znaczy, trudno daje się wytłumaczyć. Najpowszechniejszem i najwięcej do prawdy podobnem jest mniemanie, że pochodzi ona od bożyszcza Sobot. Kronikarze wspominają bożka Sobot, a mianowicie, że Szlązacy pod tym imieniem czcili bożka Pioruna i że temuż poświęconą była znana szląska góra Sobótka. Inne tłumaczenie jest następujące: W ustanowieniach soboru Konstantynopolitańskiego z roku 691 jest zakaz, który zabrania Słowianom w Grecyi święcić »Kalendas, Buta i Brumalia.« Co do wyrazu Brumalia znajduje się dodatkowe tłumaczenie, że to są »Rusalie.« Przy wyrazie Buta zaś nadto dodano szczegółowo, że to są uroczystości, przy których lud na granicach zapala ognie i według swych obrządków około nich tańczy. Nie ma wątpliwości, że tu wyraz Buta to samo znaczy, co Sobótki, i nawet ten sam ma pierwiastek. Atoli domyślają się niektórzy, że wyraz Buta ma brzmieć Wuta (bo Grecy nie mają głoski *w* i piszą zamiast niej *b*), a w tym brzmieniu tkwi nazwa Wita albo Wida; opuszczona zaś przed wyrazem Buta zgłoska *„so“*, jest skróceniem, zamiast *święty* czyli *światły;* i tak wywodzą tu imię Swantewita czyli Światowida. Zaczem nazwa Sobótek miałaby za pierwiastek imię Swantewita, i pod tą nazwą oddawano cześć Swantewitowi, t. j. słońcu, w pełni jego zwycięstw i dobrodziejstw.

Nazwa »Kupało«, oznaczająca ten sam obrządek na Rusi, łatwiej się tłómaczy. Słowianie święcili sobótki nietylko ogniem, ale też i wodą. Woda należała do wszystkich słowiańskich obrządków, a największą cześć odbierała w ruskich okolicach. W tej dobie zaś czczono szczególnie wodę jako oczyszczający żywioł, że wtedy najlepiej było kąpać się, zgodnie z teraźniejszym przysłowiem: skoro Jan Chrzciciel ochrzci wodę, kąpać się w niej zdrowo. Od tejto własności wody t. j. od oczyszczania i kąpania się w niej miały letnie gody u Rusinów nazwę Kupało. Jednak należał do tego i ogień, uważany również za żywioł oczyszczający, i słowiańskie obrządki ogniowe w ogóle mogły mieć tylko znaczenie oczyszczania, niby okąpania się. Domysł, jakoby gody te miały nazwę od bożyszcza Kupało, równie jest nieuzasadnionym, jak wywodzenie kolęd od bożka Kolada.

Wyraz Kupało i obrządek kąpania i polewania się wodą przypomina jeszcze pogańskie wyobrażenie, według którego słońce codziennie w nocy się kryje w podziemnych przestrzeniach i w czystej wodzie morza się kąpie. Z tem znowu łączy się zabobon, że po spaleniu świętojańskiego ognia t. j. rano w dzień św. Jana Chrzciciela także pilnie uważają, czy słońce czyste z nocnej swej kąpieli wschodzi, i że tegoż samego poranku kobiety prześcieradła po łąkach wloką i zbierają rosę, która ma być niby z kąpieli słońca i której przeto wielki wpływ na zdrowie i piękność przypisują.

Uroczystość sobótek obchodzono szczególnie w nocy, a mianowicie w Polsce, następującym sposobem: Dnia poprzedniego zbierano zioła: bylicę, łopian, dziewannę, macierzankę, rutę, piołun, rozchodnik, bławatki itp., w mniemaniu, że tego dnia posiadają szczególną własność leczniczą, a zwłaszcza bylica wielką moc przeciwko czarom i urokowi. Dziewczęta wiły wieńce, przystrajały niemi mieszkania i puszczały je także na wodę. Młodzież męska układała stosy z gałęzi świerkowych; potem tarli deskę o deskę, aż się zapaliły. Tak wydobyty ogień uważano za żywy i święty, bo taki palono też na ołtarzach bogów i takim zapalano owe stosy. Skoro słońce zaszło, zabłysły wszędzie ognie po polach i wzgórzach, nad rzekami, lub przy źródłach, bo woda koniecznie należała do tego obrządku. Zaraz gromady ludu śpieszyły ku płonącym stosom, wszyscy opasani bylicą, a dziewczęta postrojone biegły naprzód, także z wieńcami bylicy na głowie. Zaczynały się śpiewy i tańce do koła stosów przy odgłosie dud, skrzypek i bębenków. Skakali też przez ogień młodzi i starzy, co miało być oczyszczeniem się z grzechów; zioła zebrane składały dziewczęta na ofiarę. Potem częstowano się piwem i miodem i smażono jajecznicę. Zabawa trwała do samego rana, bo każdy chciał powitać wschodzące słońce i oddać mu pokłon w dobie jego największej wspaniałości; a skoro pierwszy jego promyczek się ukazał, wszyscy rzucali się do wody, by się ukąpać. Najprzód więc został duch oczyszczony przez ogień, a potem również ciało przez wodę. Każdy powinien był uczestniczyć w tej uroczystości, a uchylającym się od niej źle wróżono i życzono.

O północy szukano też kwiatu paproci, wierząc, że w tej chwili zakwita i ma taką moc ukrytą, iż człowiek, który go znajdzie i utrzyma, posiędzie szczęście, bogactwo, mądrość i wszechwiedzę, widzi rzeczy przeszłe i przyszłe, rozumie mowę zwierząt i wszystkie skarby ziemi stoją mu otworem. Lecz śmiałkom szukającym zabraniają złe duchy i potwory zerwać ten kwiat; a Piorun sam swymi grzmotami (które o tym czasie są najczęstsze) nie pozwala mu pokazać się, by człowiek nie dociekł przezeń tajemnic boskich.

Palenie Sobótek, o którym już i Teodoret w 5 wieku wspomina, było tak w Słowiań-

szczyźnie rozpowszechnione i tak mocno wkorzenione, że i po zaprowadzeniu chrześciaństwa aż dotąd obrządek ten pogański się zachował, lubo z miejscowemi różnicami. Utrzymał się on nawet w dawno zniemczonych krajach, jak w Bawaryi, Turyngii, Saksonii itd., które były niegdyś słowiańskimi. Wszędzie istotą rzeczy był ogień święty, za pomocą tarcia z drzewa dobyty, więc wymownie świadczący o starożytności obchodu, sięgającego najpierwotniejszych czasów ludzkości. Ten ogień żywy oznaczał światło i ciepło wewnętrzne w przyrodzie, pochodzące od bogów Pioruna (Sobota), Radegasta (Jessa), Żywia i Swantewita, w ogóle zaś od Słońca, zaczem mu szczególną moc oczyszczenia przyznawano.

Na schyłku lata dwa główne zjawiska zwracają na siebie uwagę, a zwłaszcza ubywanie światła i przybywanie zimy, tudzież dojrzewanie owoców i zbieranie tychże. Słowianie, pojmując wszystkie w ogóle zjawiska przyrody nabożnie, obchodzili i te uroczyście jesiennemi godami, których zabytkami są: *babie lato i obżynki*. Pierwsze odnosi się do zmiany światła i dnia czyli w ogóle przyrody, drugie do urodzajów. Święcili zaś te gody w czasie około jesiennego porównania dnia z nocą, atoli stósownie do podniebia cieplejszego lub zimniejszego różnych słowiańskich krajów, nie w jednej dobie, lecz później lub rychlej.

Babie lato bierzemy teraz zwyczajnie z pośmiechem w znaczeniu »babskiego lata;« pogańscy przodkowie jednak poważali to zjawisko jesienne z taką nabożnością, jak zjawienie się zieleni i kwiatów w wiośnie. A jak upięknienie i upłodnienie się przyrody w wiośnie przypisywali bóstwu, tak znowu w jesieni pozbawienie urodzajów przyrody przyznawali wpływowi osobnego bożyszcza. Takim bożyszczem w wyobraźni u Słowian była Baba, która w znaczeniu dobrem lub złem, czyli z przymiotem płodności lub niepłodności, miała przydomek »Złota-Baba« i »Jeży-Baba.« Z temi przydomkami Baba równa się Żywie i Marzanie. Niepłodność przyrody, czyli raczej stan, w którym się taż do nowej płodności przygotowuje, wyobrażała więc Jeżybaba (jak Marzana), która w jesiennej porze panowanie przez zimę przyjmuje, a w wiośnie znowu Złotejbabie (Żywie) oddaje. Ztąd pora około jesiennego porównania dnia z nocą była najodpowiedniejszą do uczczenia bóstwa, w ten sposób wyobrażanego, tj. płody wydającego i powstrzymującego; a ponieważ to bóstwo w ogólności nazywano Babą, przeto gody (święta) na cześć nazwano babiem latem. W ogóle Słowianom babie lato oznaczało ukończenie wszystkiego, co im lato przyniosło.

Powszechnie oznaką babiego lata są pajęczyny, ciągnące się po polach, których przyczyny przodkowie nasi nie mogąc sobie objaśnić, mieli je za przędzę bogini Baby, podobno dla tego, że o tym czasie także przędzenie w domach się zaczynało. Ponieważ zaś w czasie babiego lata pokazuje się na niebie grono gwiazd (plejady), więc przodkowie nazwali je »baby.« Że babie lato było rzeczywiście świętem na cześć bożyszcza Baby, stwierdzają zachowane dotąd w Rosyi obrządki i śpiewki na babie lato, których u nas już mało pozostało.

Obżynki czyli *wyżynki* za starodawna nie były tylko radosnem ukończeniem żniw, żniwową zabawą, jak teraz; ale były to uroczyste gody, w których Słowianie pobożny swój umysł obracali ku ziemi, jako matce i dawczyni polnych urodzajów. Były to święta szczególnie na cześć bogini Cycy (Żyzy), tj. ziemi, którą także Zemeną zwano. Obchodzono te święta z różnymi obrządkami, ofiarowano bóztwu owoce, zabijano na ofiarę kozły, barany, świnie i inne zwierzęta, z których pewne części zakopywano do ziemi, dla mniemanego bóstwa, a resztę spożywano na następnej uczcie. Działo się to ze śpiewem i modłami nabożnemi, tudzież z różnemi grami i tańcami, mianowicie tańczono tak zwane »koło«, i wesołość i radość były ogólną oznaką tych gód. Ślady tego obrządku zachowały się np. na Morawie i w Czechach, gdzie podczas obżynek zabijają czarnego koguta lub też i barana, tańczą koło niego i śpiewają, nawet chodzą z nim po wsi i zamieniają za kołacze, przyczem gospodarzom pomyślnych urodzajów na przyszłość życzą. W Polsce podobną zabawę żniwową nazywają »okrężne.«

Obchodzono też tę uroczystość na cześć Swantewita, wyobrażającego słońce, bo słońce czczono jako najwyższego sprawcę wszelkich owoców i płodów ziemi. Świadczy o tym popodany już opis nabożeństwa, corocznie po ukończeniu żniw odprawowanego w Arkonie przed świątynią Swantewita. Tu lud także sprowadzał bydło na ofiarę, przyczem kapłan napełniał róg w ręku boga tego miodem i przyjmował kołacz wielki, taki, żeby go z poza niego widzieć nie było można, z czego prorokował o przyszłej urodzajności, o którą Boga prosił, napominając oraz lud do pobożności i do ofiar. Zgodny z tym obrządkiem znajdujemy u Rusinów zwyczaj przynoszenia księżom do kościoła gotowanych pirogów, tudzież miejscami zwyczaj rzucania zboża na księdza, idącego do ołtarza. Zdaje się, że żniwowe gody dzieliły się na więcej części, bo początek ich zwano »zażynkami,« koniec zaś »dożynkami.« Czas obchodzenia tychże w różnych słowiańskich krajach pewnie był różny, zawisł bowiem od różności podnieba cieplejszego i zimniejszego, lecz w ogóle stykały się obżynki z babiem latem i oboje stanowiły razem pasmo jesiennych gód.

Zważywszy, jak wszystkie słowiańskie święta i połączone z niemi obrządki i ofiary, były na cześć bóstwa płodami obciążającego, znajdziemy w tym dowód, że Słowianie kochali się nadewszystko w rólnictwie i w rozkrzewianiu płodów ziemskich i w tym stanie, jako lud ról-

niczy, przekładali życie spokojne nadewszystko, a dla tego do wojennego życia nie byli skłonnymi i w tym się różnili od innych narodów.

Obchody rodzinne.

Jak pogańscy przodkowie nasi każde zatrudnienie przedsiębrali ze czcią bóstwa, które pod różnemi usposobieniami i imionami wzywali, tak również całe swe życie poświęcali bóstwom. Pod imieniem Żywie wyobrażali sobie główne bóstwo, jako dawcę życia; lecz to bóstwo w różnych jego objawach czyli przemianach przedstawiali sobie znowu jako więcej bożyszcz, które się w różnych stopniach rozwoju życia zajmowały człowiekiem. I tak każdy wiek oddawano w opiekę pewnego bożyszcza, z czem się różne obrządki łączyły.

Początek życia. Wspomina kronika, że trzy bóstwa zajmowały się pierwocinami życia ludzkiego: Żywa, Porenuc i Złota-baba. Żywa dała życie, niby duszę dziecięciu, Porenuc opiekował się niem w żywocie matki, a Złota-baba pielęgnowała poród. Z tej przyczyny małżonkowie modlili się do tych bóstw i czynili im ofiary. Pobożnemu charakterowi Słowian zapewne odpowiadało to składanie obiat; o innych obrządkach przy tem nie znajdujemy wzmianki: Helmold tylko powiada, że na uroczystości »zgromadzają się mężczyźni i niewiasty z dzieciątkami i ofiarują bogom.« W ten sposób dawni Słowianie przyzwyczajali dzieci już w pierwszych latach do czci swych bogów.

Postrzyżyny. Ważnym był dla dziecka płci męzkiej rok siódmy, bo to był czas, w którym je uroczyście wprowadzano do społeczeństwa ludzkiego, a do tego służył u Słowian obrządek, zwany postrzyżynami. Liczba 7 w pojęciu religijnym starożytnych ludów miała tajemnicze znaczenie, i według lekarzy rok siódmy powoduje ważne w składzie ciała człowieczego zmiany. Rodzice dali więc 7-letnim synom po pierwszy raz i uroczyście ostrzygać włosy; przy tej uroczystości nadano dzieciom imiona i poświęcono je bogom, których je nauczono znać; postrzyżone zaś włosy złożono na ofiarę bogom. W tym celu ojciec zapraszał krewnych i przyjaciół i przedstawiał im chłopca jako członka rodu; uprosił też kogo z gości, by postrzygł mu syna, i ten był odtąd jakby jego kumem. Na tę uroczystość zaś występowali tylko mężczyźni. Dziewcząt nie strzyżono, za to po pójściu za mąż zawijano im włosy. Kronika polska opisuje takie postrzyżyny, które Ziemomysł Piastowicz sprawił synowi swemu Mieczysławowi w siódmą rocznicę urodzenia; a ten Mieczysław, później nawrócony, zaprowadził chrześciaństwo w Polsce. Mamy także przykład u starożytnych Greków, którzy również ofiarowali bogu słońca, Apolinowi, włosy swych synów, gdy z dziecińśtwa do wieku młodzieńczego przechodzili.

Wiek młodzieńczy. W młodzieńczym wieku wychodził człowiek z pod opieki Złotej-Baby, a opiekowała się nim Łada, bogini piękności i miłości. Wzywano więc tę boginię szczególnie, bo młodzieży zależy na ładności. Tę samą cześć miał odbierać męzki bożek Ładoń, zwłaszcza u Rosyan. Obok tych bożyszcz była zaś Dziewa czyli Dziewanna wzorem dziewictwa i niewinności. Chcący wstąpić do małżeństwa oddawali się osobliwie w opiekę Łady i wzywali również Lela i Polela, tudzież Dzida czy Dziedzilije. Ztąd jeszcze w chrześciańskich czasach pozostał zwyczaj, że w niedziele od wielkanocy do św. Jana schodziły się dziewice i niewiasty na taneczne zabawy, wyśpiewując: »Łado, Łado, moja Łado« »Didi Lada, wielka Lada«, »o Lele, Polele, serce mi się śmieje« itp. Wykrzykniki takie w piosnkach uważać trzeba za wezwanie tychże bożków.

Zaślubiny i małżeństwo. Młodzian, poznawszy się z dziewczyną, kiedy dostał od niej równiankę z kwiatów, mianowicie gwoździków, było to znakiem jej przyjaźni. Kiedy sobie dali po jabłku, było zaś to oświadczeniem wzajemnej przychylności. Jabłko było też godłem bogiń Żywy, Łady i Krasopani, którym przypisywano kojarzenie stadeł małżeńskich. Po otrzymaniu takiego znaku wysyłano od strony młodziana do przyszłego teścia swatów, którzy mieli oblubienicę młodzianowi przyswoić. Następnie do dziewosłębów należało poślubienie obojga młodych. Teraźniejsze snęby, zdaje się, nie były tylko zwykłą umową weselną, ale miały większe znaczenie.

Poślubienie jednak odbywało się z pewnymi korowodami i trudami. Najdawniejszy kronikarz słowiański, Nestor, powiada o mieszkańcach dawnej Rusi, mianowicie o Drewlanach, Rademiczanach i Wiatczanach, że porywali sobie za żony umówione dziewice, a o Polanach kijowskich dodaje, że oblubieniec nie chodził sam po żonę, ale przyprowadzano mu ją wieczorem. Ztąd wnoszą nowsi pisarze, że porywanie oblubienicy z domu musiało być powszechnym zwyczajem słowiańskim, a to tem więcej, gdyż dotąd podobny obrządek przy weselach zachowuje się u wszystkich Słowian. Atoli to zdanie nie zgadza się z usposobieniem dawnych Słowian, którzy nie byli narodem napastniczym, jak np. dawni Rzymianie, co porywali sobie piękne Sabinki za żony. Zdaje się, że ta ceremonia weselna ma inny powód. Zmiana stanu panieńskiego i opuszczenie progów rodzinnych wywołuje zwyczajnie żałosne wyrzekanie oblubienicy mimo jej miłości ku narzeczonemu; stawały więc w jej obronie towarzyski młode, a drużbowie narzeczonego musieli ją zdobywać.

Jak z samego Nestora się wydaje i co inni także upatrują, była właściwszą inna forma poślubin, to jest, że ojciec, umówiwszy się z przyszłym zięciem, wprowadzał do jego domu swą córkę, ustroiwszy ją. Była ona z zasło-



KAMIENIEC PODOLSKI. (Zobacz objaśnienia rycin na str. 316.)

nioną twarzą i w tej chwili oblubieńcowi niewidoczną i niewiadomą, ztąd nazwano ją niewiastą (zamiast niewiadtą), i przeto nazwa ta dawniej oznaczała narzeczoną, synową, a potem w ogóle każdą mężatkę. Ponieważ zaś niewiasta za zgodą jej samej i jej rodziny została pożenioną (tj. pognaną) do męża, ztąd nazywana jest żoną. Mężczyzna dawał przy tem żonie wiano za utratę wieńca panieńskiego, którym się zdobiły dziewice, a mąż brał od teścia posag (t. j. posiąg, od słowa pasagnuti, posiągnąć.) Wiele innych zwyczajów przy obchodach weselnych dotąd się zachowuje w różnych krajach słowiańskich i może są zabytkiem pogańskich obrządków.

Starożytny dziejopis grecki Herodot wspomina i chwali zwyczaj Wendów (Enetów) ilirskich, których tak opisuje: W każdej wsi sprowadzają corocznie raz na pewne miejsce wszystkie dziewice dorosłe. W około stoją mężczyźni. Wywoływacz sprzedaje jedną za drugą najwięcej podającym (przez licytacyę). Zaczyna od najpiękniejszej, a gdy za nią wielkie pieniądze utargowano, wywołuje drugą, po tej najpiękniejszą, i tak wszystkie zostają sprzedane, ale z tym warunkiem, że nabywcy muszą je pojąć za żony. Bogaci, chcący się ożenić, podkupują się jeden nad drugiego, aby dostać najpiękniejsze. Ubodzy zaś, którym mniej o piękność chodzi, dostają szpetniejsze, ale z pieniędzmi; bo potem wywoływać zaczyna znów od najbrzydszej, a kto najmniej pieniędzy żąda otrzyma takową. Pieniądze, dodawane nabywcom brzydkich, pochodzą z kupna pięknych. W ten sposób i piękne i brzydkie dostawały mężów.

Żona była u Słowian we wielkiem poważaniu i poszanowaniu; odznaczały się też wielką poczciwością względem mężów swoich, o czem świadczą już starożytni pisarze greccy. Dziewictwo zaś prawie ubóstwiano przez wyobrażenie Dziewanny. Przeto obyczaje dawnych Słowian odznaczały się czystością.

U wszystkich starożytnych narodów znajdujemy wielożeństwo, jakie dotąd istnieje u ludów pozaeuropejskich. Było ono niegdyś także u Słowian, lecz bardzo ograniczone. Zdarzało się ono tylko u możnych, i zdaje się, że nastało dopiero w późniejszych wiekach, gdy zaczęły się tworzyć wyższe stany i znikała równość. Większa część jednak przestawała na jednej żonie. Jak u dawnych Getów i Traków, znalazło się więc wielożeństwo później i u północnych Słowian. Ślady jego natrafiamy u Czechów. Pierwszy ochrzcony książę polski Mieczysław miał więcej żon, które po chrzcie oddalił. Z opisu życia św. Ottona wiemy, że Pomorzanom nie miał potrzeby mówić o Bogu, ale zalecał im szczególnie małżeństwo, aby każdy, mający więcej żon, jednę z nich wybrał, którą więcej upodobał sobie, a inne odprawił. Książę Warcisław w Kaminie, w ten sposób ochrzcony, wyprzysiągł się 24 żon, a jednę zatrzymał. Na Rusi jeszcze po przyjęciu chrześciaństwa trwał opór przeciw jednożeństwu.

Przyjacielstwo. Wielka cnota gościnności usposabiała Słowian szczególnie do serdecznych i przyjaznych związków. Przyjaciel uważanym był zarówno jak krewny. Ztąd to zachowało się dotychczas między Słowianami południowymi, mianowicie między Serbami, tak zwane pobratymstwo, jakiego u żadnego z innych narodów nie ma przykładu. — Dwie osoby, poznawszy i polubiwszy się, czynią sobie uroczysty ślub wzajemnej miłości i pomocy, zaczem stają się najwierniejszymi, nierozłączonymi i nieopuszczającymi się przyjaciółmi we wszelkich przygodach. Takowy przyjaciel zowie się zwyczajnie »pobratym w Bogu«. Zatem pobratymstwo uważane u Serbów za pokrewieństwo w duchu, a nie w ciele, jako powinowactwo z Boga, a nie z człowieka, które przeto bez zmazy bywa zachowywane. Jak mężczyźni, tak też niewiasty między sobą zawięzują podobną przyjaźń, a takie przyjaciółki zowie się »posestrime«. — O tym obyczaju wspomina niemiecka autorka (Talvi) z pewnem uwielbieniem, mówiąc: »U Morlachów dosięgła przyjaźń pewnego rodzaju uświęcenia religijnego. Byłam przytomną, gdy dwie dziewice w kościele w Peruziczu ślubowały sobie posestrymstwo. Uczyniwszy sobie taki święty ślub wzajemnej przyjaźni, widać było, jaka radość z oczu tychże posiostrzymic błyszczała. Jest to dowodem, do jak delikatnych uczuć ludzie ci nieoświeceni są zdolnymi.« — Piękny i święty ten obyczaj, z którego u innych Słowian tylko imię pozostało, zapewne był niegdyś powszechnym w Słowiańszczyźnie. Zdaje się, że Tacytowe »alces,« po słowiańsku »holcy« i może »Lel Polel« byli ubóstwionemi wyobrażeniami takowej przyjaźni.

Starość. Cnota gościnności i przyjacielstwa przynosiła z sobą, że, jak Helmold i inni stwierdzają, u Słowian nie znano ani biedaków żebraków, a starszych miano w wielkiem poszanowaniu; rodzicom oddawano największą uczciwość, a staranie o podeszłych wiekiem było świętym obowiązkiem rodziny. Dla tego wyrażają się ówcześni kronikarze: »nie ma poczciwszego narodu jak Słowianie dla ich gościnności.« Uszanowanie dla starszych było zawsze złączone z pierwszeństwem w rodzie, i jak ojcowie w rodzinie, tak naczelnikami rodów, gmin i całych pokoleń byli wybierani starcy, których dlatego starostami nazywano, i w tej godności wypełniali oraz domowe i rodzinne obrządki religijne, zastępując kapłanów.

Pogrzeby. Dwojaki był sposób pogrzebów u Słowian: palenie ciała zmarłych i grzebanie. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa palenie ciał było dawniejszym zwyczajem, grzebanie zaś w późniejszych czasach powszechniejszym. Na uświęconem miejscu spalono trupa, zebrano popioły jego w urnę czyli popielnicę i pogrzebano w ziemi. Miejsce spalenia zwano żaro-

wiszczem czyli żarwiskiem. Albo też zwyczajnym sposobem pochowano umarłego w grobie, kładąc ciało na wznak lub też siedzące. Groby i urny obkładano kamieniami i nasypano na nich ziemię. Na grobach znakomitszych osób usypano często wysokie kopce nagrobne, zwane mogiłami, albo też kurchanami, jakie się osobliwie w Polsce i na Rusi dotąd znajdują. Pogrzebiska te zajmowały zwykle ogromną przestrzeń, widocznie służyły dla całej okolicy; i dotąd w takowych znajdują się kości albo urny z popiołami. Zdaje się, że na tychże pogrzebiskach były też świątynie pogańskie, a później kościoły chrześciańskie, i przeto wyraz kościół pochodzi od słowa »kość,« chociaż inni wywodzą go od łacińskiego *castellum* tj. warownia.

Do grobu dawano umarłym zwykle wszystkie rzeczy, jakie za życia lubili: przystojną odzież mężczyznom, broń, siekierę, nóż, krzesiwo, pieniądze, konia i t. p., kobietom igłę, nici, nożyce, kolczyki itd. Krewni najbliżsi nosili przez niejaki czas na grobowiec potrawy, miód, piwo, któremi się dusza zmarłego zasilać miała w wędrówce do przyszłego życia. Dowód to zaiste wiary w nieśmiertelność duszy. Zdarzało się też, że z mężami swymi dały się spalić lub pogrzebać żony. Odurzając się jakimś napojem, nuciły smętną pieśń, witały ukazujących się niebian, i same zadawszy sobie cios śmiertelny, rzucały się w ogień na stosie, gdzie ciało męża palono, lub do grobu tegoż, by i w przyszłym życiu nie rozstać się z nim. Taki był zwyczaj u dawnych Traków, ale u Słowian nie upowszechnił się wszędzie, był raczej wyjątkowym, nie zgadzał się bowiem z łagodnością charakteru słowiańskiego, chociaż Dytmar Merzeburski i ś. Bonifacy też o tym wspominają. — O Trakach powiada także Herodot, że urodziny człowieka opłakiwali, wyliczając utrapienia i trudy doczesnego życia, a pogrzeby obchodzili radośnie.

Po pogrzebie sprawiano gościny, które u północnych Słowian zwano stypami, u południowych zaś strawą. O takiej »strawie« wspomina kronika przy pogrzebie Attyli. Przy tych ucztach każdy z każdej potrawy rzucał pierwszą cząstkę pod stół, niby dla duszy zmarłego, a tak też z trunków ulewano. Szczególne igrzysko wyprawiano też przy pogrzebach, które zwało się tryzna, i było rodzajem wyścigów o nagrody, zwłaszcza po zamożniejszych. Prócz tego corocznie, zwłaszcza z początkiem wiosny, odprawiano na pamiątkę umarłych biesiady, i przy tym ustrajano pogrzebowiska. W Polsce i na Litwie pozostał z tego obchód, tak zwane dziady, t. j. święto nieboszczyków. Wierzono, że dusze zmarłych są przy tej uroczystości obecnemi i biorą udział w tychże biesiadach, bo pojmowano życie pośmiertne także zmysłowo. Zapraszano przeto uroczyście dusze zmarłych na gościnę i stawiano im pokarmy, a na końcu wypraszano je znowu z domu temi słowy: »jadłyście, piłyście, duszyczki, bywajcie zdrowe, zostawcie błogosławieństwo żyjącym, a temu domowi pokój.« (Ciąg dalszy nastąpi.)

CUDOWNA MARYA PANNA STUDZIENNIECKA.

Od jak dawna na Polskę nieszczęścia się walą,
Jak dawno wrogi ziemię rabują i palą,
Wieleby o tem mówić, historya to długa;
Ledwie jedna przeminie, ciągnie bieda druga.
Tatarzyn, osiodławszy konie na Nogaju,
Niewstrzymany rozpuszcza zagony po kraju,
Po stepach Ukrainy przemknie czarnym szlakiem,
Cicho, zwinnie, najmniejszym nie zdradzi się znakiem.
I któż przyniesie wieści o wrogów pochodzie?
Chyba białe łabędzie spłoszone na wodzie.
Nie przeszkodzi mu rzeka, co po progach spływa,
Bystre wody Dnieprowe bez promu przebywa.

Biada ziemi, na którą ta szarańcza zleci!
Matki unoszą w lasy drżące swoje dzieci,
Dym spalonego zboża, który wicher goni,
Wije się w czarnych kłębach po szerokiej błoni.

Ledwie wróciło w brzegi to okrutne morze
I nad krainą smutną błysło złote zorze,
Ledwie bujna łza oschła na licach człowieka,
Już mu nowe nieszczęście zagraża z daleka. .

Chciwy Moskal z nad Wołgi dzikie tłumy zbiera,
Jak zwierz głodny na Polskę łakomie spoziera:
Lecą tłumy brodaczy z opasłymi karki,
Pod knuty chylą trwożnie swe szerokie barki,
A nie mogąc na carze pomścić się z bojaźni,
Klną się tak Polskę kaźnić, jako car ich kaźni.

Przeszła moskiewska burza, — znowu ciche łany
Zasiewa pełnem ziarnem rólnik spracowany,
Znowu się zaludniają opuszczone miasta,
W polu wesołą piosnkę zawodzi niewiasta;
Zda się, że przecie dłużej potrwa pokój błogi...
Niestety! nowa wojna, nowe idą wrogi. —

Z za dalekiego morza na Polskę zawzięty,
Dumny Szwed swem żołdactwem napełnia okręty,
Świeci zbrojami zdala tłum, co wojną dysze,
Chwieją się białe pióra, chrzęszczą ich berdysze;
Płynie na polskie brzegi straszna szwedzka nawa,
Przez otwory z okrętów mnóstwo dział wystawa;
Już hukiem armat ciche zatrzęsło się błonie,
Już po nadrzecznych wzgórzach harcują ich konie,
Przez ciemne głuche lasy i rozległe pola
Hojną ręką rozrzuca polską krew niedola.

I ta plaga minęła przy pomocy nieba,
Krwią podsycona bujniej zieleni się gleba,

Szumią złociste zboża, pełne kłosy wiszą,
Po modrych wodach tratfy flisów się kołyszą,
Pastwiska nieprzejrzane tuczne bydło spasa,
Krągłych źrebiąt gromada nad łąkami hasa. —
Z głębi cienistych borów powoli, nieśmiało,
Szczęście w wieńcu z bławatków na chwilę wyjrzało,
Koralowe usteczka otworzyło śmiechem,
Lecz zlękło się i w lasy uciekło z pospiechem.
Bo jakby niedość było ręki nieprzyjaciół,
Tak się zbłąkany naród sam na siebie zaciął,
Że gorzej niźli obcy swój na swego gonił,
Brat od napaści brata orężem się bronił.

Klęski jedna po drugiej na Polskę spadały,
Wezbrane wodą rzeki brzegi rozerwały,
I widziano płynące biedne chaty chłopów.
Woda zbierała z pola mnóstwo zżętych snopów,
Płynęły kopy świeżo skoszonego siana;
Nad brzegami nie jedna matka zapłakana,
Patrząc na dziecię, które piersią wykarmiła,
Jak je z kołyską bystra fala unosiła,
Skrzyżowawszy nad głową wyschłe, drżące dłonie,
Rzucała się na rzeki rozhukane tonie,
Pasowała się długo, idąc coraz dalej,
I nikła pod szumiącą wełną sinej fali.

Nieszczęśliwa ojczyzna w boleściach bez miary
Patrzała na swych grodów okropne pożary,
Jakiś wróg niewiadomy rzucał żagwie skrawe,
Na obłokach co wieczór łuny stały krwawe;
Wszędzie płacz, narzekanie, trumna w każdym domu,
Jakby anioł nieszczęścia chodził po widomu.

* * *

W owych czasach bolesnych we dworze w Stu- [dzianny
W starej komnacie wisiał obraz Maryi Panny
Malowany na płótnie, — lecz kto go malował
Niewiadomo — Bóg sobie wiadomość zachował;
Przed nim zawsze się modlił pan kasztelan stary,
Człek szczerze staropolski i gorącej wiary.
Mieszkał on zwykle w grodzie, kędy urząd sprawiał,
Zimą tylko w rodzinnej wiosce się zabawiał; —
Dwór przeto stał pustkami — wiekiem poczerniały;
U belek siatki szare pająki wieszały,
Nikt do dworu nie wchodził, gdy nie było pana;
Czasem tylko ekonom odwiedzał go zrana,
Otwierał drzwi i okna, gdy słońce przygrzało,
A kiedy wonne tchnienie pokoje przewiało,
Zamykał drzwi szerokie, klucz wieszał u boku,
I tak cicho, spokojnie, płynął rok po roku.

Zdarzyło się, że jakoś na jesieni dżdżystej,
Ekonom pragnąc panu dwór otworzyć czysty,
Wezwał mularza starca, Wojciecha nazwiskiem,
Który siedział na budach pod lasem pobliskim.
Przybiegł co prędzej biedak i zaczął robotę,
Ale wpół nagi, głodny, w przejmującą słotę
Zaziębił się i leżał chorobą złożony
W komnacie, w której wisiał ów obraz złocony,
Obraz Królowej nieba i Panny przeczystej,
Co Polaków okrywa w swój rańtuch gwiaździsty.

Ubogi mularz jęcząc błagał jej litości:
Matko królowo nieba, ratuj biedne kości,
Ty, co żeglarzów morskich chronisz od rozbicia,
Przyczyń mi, najłaskawsza, jeden roczek życia,
Niech tylko ujrzę Polskę szczęśliwą po wojnie,
A będę mógł umierać w mej nędzy spokojnie.

I stało się, że schylon do ziemi wilgotnej,
Ujrzał niebieską jasność w komnacie samotnej,
Zdziwiony spojrzy w górę, obraz światłem płonie,
A najświętsza panienka z dzieciątkiem na łonie,
Jak ją malują zwykle na księżyca nowiu,
Unosi się w obłoku przy jego wezgłowiu.

Zapomniał słów nieborak, w płaczu się zanosił,
Schylony prochy ziemi łzy bujnemi rosił.
Jam niegodny! niegodny! wciąż powtarzał słowo,
Pókąd mu głos cudowny nie zabrzmiał nad głową,
Głos jaki tylko w jasnem rozlega się niebie:
Wstawaj mularzu! wstawaj! wysłuchałam ciebie,
Podnieś się a idź zaraz do chaty ubogiej,
Gdzie leży biedny człowiek, ojciec dziatwy mnogiej,
I powiedz że i jemu wyjednałam zdrowie,
Za co mi postawicie kaplicę w dąbrowie,
I mój obraz, wiszący na zczerniałym murze,
Zawiesicie tam obaj na panieńskiej górze.

Widzenie znikło — starzec zdrów i silny w sobie,
Westchnąwszy z głębi duszy: pani! chwała tobie,
Poszedł na koniec wioski gdzie ów człowiek leżał...
A już na wschodzie świt się powoli rozszerzał,
I na krzyżu przy drodze z pod małego daszka
Na chwilkę się odezwał głos polnego ptaszka,
W chałupach pod strzechami czujne kury piały,
I gdzie niegdzie skrzypiące drzwi się otwierały.

Stary mularz biegł żwawo szepcąc pozdrowienie,
Ani zważał jak coraz złocistsze promienie,
Wyjaśniały nad łąką łagodne niebiosa,
Jak na powiędłej trawie stała deszczu rosa,
Ani na lasy ciemne we mgłach, które w koło
Na skrajach widnokręgu otaczały sioło.

On widział panią świata, kiedy kwef swój złoty
Odsłoniła na prośbę ubogiej sieroty,
A rozwiewając nad nim błękitną zasłonę,
Przyjmowała nędznego pod swoją obronę;
Widział ten biały księżyc, co za borem znika,
Jak go najświętszą stopą leciuchno dotyka,
Przyglądał się światłości przenadobnej, błogiej,
W której migały gwiazdy, jak śród mlecznej drogi.
Mógł więc niepatrzeć wcale na odległe drzewa,
Z których ostatnie liście chłodny wietrzyk zwiewa,
I na słoneczne blaski jesiennego świtu,
Rozstrzelone w przestrzeni cichego błękitu.

I jakąż uczuł radość, gdy idąc z daleka
Usłyszał przed chałupą głos owego człeka,
Co już był jak umarły leżał nieruchomie,
Położony dla zgonu prędszego na słomie.
Spotkali się i wzajem uścisnęli siebie,
A wiedząc się wdzięcznymi tej pani na niebie,
Poczęli szukać wzgórza, kędy stanąć miała
Licha kapliczka, potem świątynia wspaniała.

Był pagórek piaszczysty, na nim każdej wiosny
Złociły się dziewanny i szumiały sosny.

Na to wzgórze przed laty trzy dziewczątka młode,
Co w dzień świąteczny poszły tańczyć na gospodę,
Nagabane przez dzikie żołnierstwo pijane,
Schroniły się pod sosny, śnieżycą owiane;
Usiadły w śniegu, dłońmi wzajem się objęły,
Płakały długo, ciężko, i wreszcie zasnęły;
Zasnęły, lecz się więcej nie ockły na ziemi,
Śnieg usypał wysoką mogiłę nad niemi,
Miesiąc chłodny posrebrzył, świecąc nad dąbrową,
A sosna zaśpiewała głuchą pieśń grobową.

Nie wiedziano gdzie znikły — szukali daremno;
Od czasu, jak do karczmy pobiegły w noc ciemną,
Nie powróciły więcej owe panny młode,
Znikły, przepadły, jakby kamień wrzucił w wodę.
Aż dopiero gdy słońce w górę się wybiło,
Ognistymi promieńmi mogiłę odkryło,
Wtedy się pokazały z pod śnieżnej zamieci
Ciche, senne pod sosną, jakby śpiące dzieci;
Śniegi, co je okryły, z chwilą poznikały,
Tylko jeszcze łzy zmarzłe na rzęsach jaśniały.
Na tym samotnem wzgórzu grób im wykopano,
I na pamiątkę górą panienek nazwano.

Kiedy się wieść rozeszła o zdarzonym cudzie,
Z wioski i z okolicy zbiegali się ludzie;
Matki niosły na rękach biedne dzieci chrome,
Wlokły się po gościńcu dziady niewidome,
A każdy człek przychodni niósł jakąś ofiarę:
Ślepe dziecko gołębi białych niosło parę,
Dziewczyna opuszczona polnych lilii pęki,
Rybałt*) wdzięcznie złożone kościelne piosenki,
Żołnierz strzałą pierzastą, wyciągniętą z boku,
Schorzały rybak rybkę z modrego potoku,
Pastuch któremu stado owiec wymarniało,
Idąc o krzywym kiju, niósł owieczkę białą,
Szlachcic pomny na ojców wiarę i prostotę,
Ulane ze szczerego złota serce złote,
A mularz, co modlitwą cud z nieba wyprosił,
Co dzień na górę cegły i kamienie nosił.
I tak powoli z ofiar na świętą kaplicę,
Wznosiły się filary, jak zmarzłe dziewice,
Schody jak lud pobożny, co się schyla w progu,
Wieżyczka jak ta strzała, poświęcona Bogu,
Gzymsy jako wianeczek ubogiej dziewczyny,
Uwity z polnych kwiatków ojczystej doliny;
Na pułapie gołąbek, co lecąc na ziemię,
Przemienia plemię orłów na gołębi plemię,
Kropielnica jak lilija przedziwnej białości,
W której perli się rosa niebieskiej miłości,
Wreszcie okienko, w górę patrzące wysoko,
Okrągłe, jasne, jako onej rybki oko.

Gdy raz pierwszy na zorzy w ciepłej wiosny dzionek
Odezwał się z kaplicy poświęcony dzwonek,
Wesołe polne ptastwo, co po krzakach spało,
Zdziwione cudnym brzękiem ciekawie słuchało;
A potem, podleciawszy w błękit lekkiem piórem,
Zawtórowało głośnym szczebiotliwym chórem.
Las, po którego liściach tylko wicher szumiał,
Słysząc urocze dźwięki, zamyślił się, zdumiał;
A kiedy nieprzestając dzwonił głos pieszczony,

*) Rybałt = śpiewak kościelny.

Rozniósł po drzew gałęziach uroczyste tony,
Łąka, co się tysiącem kwiatów rozwijała,
Dźwięki dzwonka w przeciągłą, jedną pieśń przelała,
A zdroik, spadający na drobne kamyki,
Do dziś dnia nie zapomniał tej cudnej muzyki.

O! droga ziemio polska! jakiż człek opisze
Mozaikę twych kwiatów, ciemnych borów ciszę?
Kto wszystkie twoje wdzięki przed światem odkryje?
Białe i czarne morze, co twe stopy myje,
Niebo, co tak nad tobą schylając się płonie,
Jakby się unieść chciało w lazurowe tonie.
Kto wszystkie dla przyszłości wyliczy zadatki?
Dziś pod nędzą ukryte, jak pod lodem kwiatki?
Kto podniesie krew twoją jak żywe korale?
Kto godnie przez gęśl prostą przeciągnie twe żale?
Och chyba jaki święty, którego Bóg wzbudzi,
Aby we wdziękach Polski rozmiłował ludzi.

Gdzie gorąca modlitwa, kędy wiara żywa,
Tam i cuda się dzieją, tam i łaska spływa:
Żołnierz, skłuty jak sito na wojnie z Bohdanem,*)
Po modlitwie w kaplicy gdy zasnął nad ranem,
Miał sen, że mu na rany anioł lejąc wodę,
Przywrócił utraconą myśl i siły młode.
I prawda, bo z porankiem wstał czerstwy i zdrowy,
A w rok potem rozwiesił namiot obozowy,
Gdzie czyszcząc ostrym piaskiem połamaną zbroję,
Śpiewał: „Olej wylany, Marya, imię twoje.“

Ślepe dziecko, klęczące z ojcem nieszczęśliwym
I dziadkiem, co na kiju opierał się krzywym,
Ciemne od urodzenia, wybladłe chorobą,
Jakieś tchnienie powietrza uczuło nad sobą,
A na powiekach jakby paluszki znikome,
I roześmiało się wdzięcznie, zdrowe i widome.

Biedny bartnik, któremu pszczół wydarto pieńki,
Przyniósłszy resztę miodu na ółtarz panienki,
Rzucił się z ciężkim płaczem na kamienne progi,
Bo już nie miał czem żywić swej dziatwy ubogiej,
I wołał: dałeś Panie jedno, drugie dziecie,
Ratujże! bo nikogo nie mamy na świecie.
I w tejże samej chwili z dalekiego sioła
Zabrzęczała w powietrzu jedna, druga pszczoła,
Za niemi całe roje sypały się złote,
I poszły za nim, niosąc na nóżkach robotę.

Ale nie tylko chorzy i biedni rólnicy,
Cały kraj doznał łaski Najświętszej dziewicy:
Zwolna nikły niedole, ustały pożary,
Wróciła dawna miłość i obyczaj stary,
Błękitna Wisła, płowe opuściwszy wzgórza,
Lała spokojną wodę z kamiennego kruża,**)
Ustroiwszy swe skronie wieńcem rokiciny,
Bujną złotą pszenicą powiały doliny.
Ale największa radość rozległa się w polu,
Kiedy hetman zwalczywszy Turki na Podolu,
Przyciągnął z całem wojskiem na smugi Studzianny,
Złożyć pokorne dzięki u stóp Maryi Panny.
Całe rycerstwo w zbrojach ze skrzydły sępiemi
Poklękało pobożnie na piaszczystej ziemi;

*) Bohdan = Chmielnicki.
**) Kruż = dzban.

Stary żołnierz schylony w zbroicy łuskowej.
Po długim boju zdejmał hełm ze siwej głowy;
Młodzież rycerska, w ojców wychowana wierze,
Stojąc kupkami w ciszy modliła się szczerze;
Pogody by najmniejsza nie sępiła chmura,
Łagodny wietrzyk muskał orlich skrzydeł pióra;
Wieśniactwo poklękało na długim ugorze,
Szepcąc pacierz, jak szepce kołysane zboże;
A gdzie niegdzie śród jasnej widać było błoni
Wianek ze złotych kłosów na dziewiczej skroni.

Płacz okrutny się rozległ kiedy uwolnieni
Starzy żołnierze długo w ciemnicach więzieni,
Poczęli znosić ciężkie żelazne kajdany,
Co im na nogach krwawe porobiły rany,
I rzucać przed królową u kamiennych progów,
A potem z głębi duszy modlić się za wrogów.

Była to chwila, która jeszcze się powtórzy,
Zobaczą taką chwilę ludzie — ale którzy?...

Po nabożeństwie Boże przyjmowali ciało,
A między mnóstwem ludu, co komunią brało,
Klęczał i mularz Wojciech, płacząc nieustannie,
Uniósłszy wyschłe ręce ku Najświętszej Pannie.
Były to łzy radości najżywsze, najszczersze,
W bolesnem długiem życiu łzy radości pierwsze,
I ostatnie; — bo kiedy po przyjęciu chleba,
Wilgotne oczy podniósł do królowej nieba,
Dusza spragniona spocząć od boleści ciała,
Bez żalu na spokojne wiatry uleciała.
A po śmierci miał takie rozjaśnione lice,
Jakby tylko co widział najświętszą dziewicę,
I oświecony blaskiem gwiaździstej korony
Uciszył się, radością wieczną zachwycony.

O! wierny sługa Pana, jeśli mi w tej ciszy
Płaczącemu nad Polską duch twój towarzyszy,
Jeśli za chwilę z świętym złączysz się orszakiem,
Módl się do Matki Bożej za grzesznym śpiewakiem.

Teofil Lenartowicz.

CHILI.

Z powodu wojny domowej wiele gazety pisały i piszą o kraju amerykańskim Chili. Dla tego podajemy o nim wiadomości.

Chili, albo Chile, rzeczpospolita, wązkim a długim pasem na połud.-zachód wybrzeżu Ameryki południowej pomiędzy 24⁰ i 44⁰ szer. poł. położona, ze wschodu na zachód do 40 mil szeroka, graniczy na północ z Boliwią, na wschód z rzecząpospolitą Argentyńską, na południe z Patagonią (którą nawet Chilijczycy za swą posiadłość uważają, posuwając w ten sposób południową granicę aż do przylądka Horn) i na zachód z oceanem Wielkim. Pobrzeże jest po większej części jednostajne z niewielkiemi zagłębieniami, z których ważniejsze są zatoki: Salado, Coquimbo, Valparaiso, Concepcion, Valdivia i Ancud. Powierzchnia Chili jest różnie podawaną, z przyczyny spornych terytoryów z Boliwią i rzeczpospolitą Argentyńską, najniższa cyfra wynosi 5,927 mil kw., a najwyższa 11,810 mil kw. Chila jest krajem górzystym, położonym na zachodnim stoku Andów, które idąc z północy ku południowi stopniowo się zniżają (z 20,000 na 8,000 stóp.) Prócz tego głównego łańcucha Andow-Kordylierów, do których należy 16, czy też nawet 24 wulkanów (Aconcagua, Copiepo, Maipo i inne) ciągną się jeszcze, bądź to w poprzek, bądź to równoległe z Andami, inne łańcuchy gór, nie tak wysokich.

Chili obfituje w wody, płynie tu bowiem przeszło 50 rzek, długich na 20 do 30 mil, z przyczyny gwałtownego spadku niezdatnych do żeglugi. Najważniejsze z nich są: Coprapo, Maipo, Biobio, Valdivia, Rio Bueno i Maullin. Z jezior największe są: „Layuna del Ranco i Laguna di Llanquihun.“ Klimat Chili wskutek wiatrów i znacznego a niejednakowego wyniesienia nad poziom morza jest bardzo różny, chociaż w ogólności zdrów i łagodny. Część północna ma klimat suchy, prawie bez deszczów, część południowa przeciwnie ma klimat niejednostajny i bardzo wiele deszczu. Linija śnieżna przypada na północy w wysokości 15,000, a na południu 5,000 stóp.

Roślinność nader obfita w części południowej kraju, jest nader skąpą na północy. Są tu olbrzymie dziewicze lasy, a z krajowych roślin najważniejsze kartofle, wiele ziół lekarskich, roślin farbierskich, aromatycznych, drzew budulcowych i t. d.

Ze zwierząt spotykamy tu lamy, konie dwukopytne, szakale, lisy, papugi, dzięcioły, patagońskie strusie, czarnoszyje, łabędzie itd. Płazów prawie nie ma; ryb i owadów jest bardzo wiele. Chili jest także bogate w minerały; w górach tutejszych znajduje się złoto i srebro, miedź, kobalt, nikiel, żelazo, saletra, sól, węgiel i t. d.

Ludność. Pierwotnymi mieszkańcami kraju byli Indyanie plemienia Araukańskiego, których teraz ledwie szczątki ocalały; główną ludność Chili stanowią biali i metysowie, niewiele od białych się różniący. Wszystkich mieszkańców, których liczba szybko wzrasta, było w 1868 roku 1,908,400, a pomiędzy nimi znajdowało się 23,200 cudzoziemców. Religija państwa jest rzymsko-katolicka, lecz inne wyznania są tolerowane.

Przemysł mało rozwinięty, a najważniejszemi jego gałęziami są: mydlarstwo, piekarstwo, szewstwo i gorzelnictwo. Głównym zatrudnieniem mieszkańców jest chów bydła, rólnictwo i górnictwo.

Handel nie zbyt rozległy ciągle wzrasta,

w roku 1868 wywieziono towarów wartości 41,000,000 talarów, przywieziono za 37,000,000 tal. Handel lądowy odbywa się głównie za pomocą jucznych zwierząt, koleje bowiem jeszcze nie wiele rozgałęzione. Na wychowanie publiczne rząd zwraca baczną uwagę, chociaż wiele jeszcze w tym względzie do zrobienia pozostaje.

Instituto nazional w Sant-Jago obejmuje uniwersytet i akademię nauk; dla średniego wychowania jest 18 szkół średnich, czyli kolegiów, dla początkowego 985 szkółek z 47,717 uczniów. Są prócz tego szkoły specyalne i szkoła normalna dla kształcenia nauczycieli.

Konstytucya. Chile jest rzecząpospolitą i władza prawodawcza spoczywa w ręku kongresu, złożonego z dwóch izb: izby deputowanych (80 do 90 członków) i senatu (20 członków); na czele władzy wykonawczej stoi prezydent, obierany na 5 lat i który do pomocy w zarządzie ma radę stanu. Pod względem administracyjnym kraj rozdzielony jest na 15 prowincyi. Finanse są pomyślne, dług państwa wynosił w 1870 roku 58 milionów talarów. Armija Chili składa się z 5,176 ludzi, gwardyja narodowa z 52,721 ludzi; flota wojenna liczy 4 parowce i 3 okręta żaglowe. Stolicą państwa jest m. Santjago.

Historya. Inkasowie peruwiańscy usiłowali kraj ten podbić, lecz nigdy nie ujarzmili mieszkańców południowej części. Hiszpanie wkroczyli tu po raz pierwszy pod dowództwem Diego Almagro i w r. 1550 dotarli aż do rzeki Biobio, która uznaną została za granicę ich posiadłości. Chile stanowiło generalne kapitanostwa hiszpańskie. Idąc za przykładem Venezueli i La Plata, Chile podniosło także 18. Wrześ. 1810 chorągiew powstania, lecz dopiero nieszczęśliwa dla Hiszpanów bitwa na równinach Maypu, stoczona 5. Kwietnia 1818, zapewniła krajowi zupełną niepodległość. Skutkiem tego gen. Freyere postawiony został 1820 na czele władzy wykonawczej, która w dniu 2. Marca 1827 przeszła na wiceprezydenta Pinto. Tymczasem kongres, zgromadzony w Valparaiso, ukończył układy co do ustawy związkowej (Sierp. 1828), podług której rzeczpospolita składać się miała z trzech samoistnych prowincyi: Coquimbo, Santjago, Concepcion i krainy Chiloe, z których każda posiadała oddzielny zarząd prowincyonalny, a do wspólnego kongresu należała władza zwierzchnicza. W dniu 5. Kwietnia 1831 objął władzę prezydent Pinto. Zamach, dokonany w roku 1836 przez Freyrę przy pomocy Obregoso, sprowadził 1837 wojnę z Peru i Boliwią, która dopiero 1839 roku była ukończoną. Odtąd spokojność kraju została zabezpieczoną, a rzeczpospolita postępować zaczęła coraz energiczniej na drodze wewnętrznego rozwoju. W roku 1844 przez Hiszpanię stanowczo uznana za niezawisłą.

W ostatnich czasach handel podniósł się tu nadzwyczajnie, mianowicie po zajęciu Kalifornii przez Stany Zjednoczone Północnej Ameryki i po ustaleniu żeglugi na oceanie Spokojnym do Australii i Azyi wschodniej; żegluga, rólnictwo i górnictwo, dla podniesienia którego wielkie w Chili położył zasługi nasz ziomek Ignacy Domejko, wzmagają się także znakomicie. Głównie sprzyjały temu rozwojowi rządy prezydentów: gener. Bulnes (1831—51), który zawarciem korzystnych traktatów i swobodniejszem prawodawstwem celnem ożywił handel i polepszył stan finansów, Don Manoel'a Montt (od 18. Października 1851 do 1861), za rządów którego wybuchło 1854 powstanie, szczęśliwie przez wojska rządowe 24. Kwietnia pod Serena stłumione, i Joachima Perez jego następcy. Po długich bezowocnych układach z Boliwią, o bogate pokłady guana na spornem terytoryjum (głównie na wyspach Mejillones), nastąpiło 1. Marca 1864 roku obustronne zerwanie stosunków dyplomatycznych. W tymże reku wszczęły się zawikłania z Hiszpanią o bezprawne jakoby postępowanie Chili przeciw baskijskiej kolonii w Peru. Eskadra hiszpańska zajęła w zakład żądanej satysfakcyi wyspy Chincha; admirał hiszpański Pareja ogłosił wypowiedzenie wojny 25. Września 1865, a 1866 admirał Mendez Nunez blokował porty Valparaiso i Caldera, 31. zaś Marca t. r. bombardował m. Valparaiso. Tymczasem rzeczypospolite: Peru, Ecuador i Boliwia wzięły stronę Chili i wypowiedziały wojnę Hiszpanii, której eskadra musiała skutkiem tego opuścić wody amerykańskie i zaprzestać kroków nieprzyjacielskich. Za pośrednictwem Stanów Zjednoczonych zawarto w Lipcu 1869 dwuletni rozejm, który w Kwietniu 1871 r. przedłużono na lat 3 i rozpoczęto równocześnie układy o nowy pokój. Hiszpania wynagrodziła szkody, zrządzone bombardowaniem. Niewielkiego znaczenia, ale szkodliwego wpływu na rozwój południowych prowincyi, były napady Araukanów, którzy chociaż pokonani (1858—66) zawarli w Styczniu 1870 roku pokój, jednakże pod powtórnie obranym królem Orelim Antonim I na nowo nieprzyjacielskie rozpoczęli kroki. Oprócz opisów podróży Pöppig'a, Hall'a, Miers'a, Tschudi, Bibra i t. d. Porów. Molina »Geographical, natural and civil History of Chili.« (2 tomy, Middletown 1808); Gaya »Historia fisica y politica de Chili« (12 tomów, Paryż 1844—49); Gilliss'a »Report of the U. S. naval expedition to Southern hemisphere (6 tomów, Waschington 1855—58). Szacowne materyały do poznania kraju i mieszkańców zawierają »Annales,« wydawane od 1843 przez uniwersytet w Santjago.

Nowa wojna domowa w Chili dopiero co się skończyła.

O wychowaniu dzieci do siódmego roku

przez

Ewarysta Estkowskiego.

(Dokończenie.)

Odwiecznem a mądrem prawem przyrodzenia, kto pracuje, wypocząć musi, kto czuwa, snu potrzebuje. Człowiek pracując i czuwając, zużywa tak pewne siły w sobie, jak oddychaniem zużywa powietrze, jak trawieniem zużywa pokarm. Zaś siły te odradzają się i dziwnem urządzeniem natury świeże w człowieka wstępują przez wypoczęcie i sen. Sen, będący najdoskonalszem wypocznieniem, jest cudownem a tajnem źródłem, z którego ciało i duch ludzki swe siły czerpie. Tajemnicza i niedocieczona jest natura snu; bo któż to wytłómaczy, że człowiek, najbardziej pracą i trudem znużony, po kilkogodzinnym śnie znów do świeżości i sił przychodzi? że zmęczony duch pracą umysłową przez sen do pierwotnej powraca sprężystości? Sam brak zatrudnienia nie pokrzepia dostatecznie ciała i umysłu. Snu natura tem więcej tajemniczą zdawać się nam musi, jeżeli zważymy, że wśród snu oddech i obieg krwi stają się wolniejsze, czynność trawienia i wszystkie inne działalności organizmu ludzkiego o wiele mniej są dokładne, wzajemna wymiana części nie tak szybko po sobie następuje. A więc tajemnicą dla nas jest sen; ale mniejsza o to — dość, że bez snu człowiek żyćby nie mógł, że sen jest żywiołem, niezbędną życia naszego potrzebą. Sen jest konieczny do pokrzepienia sił osłabionych, do strawienia pożytego pokarmu, do peryodycznego przywracania organizmu do normalnego stanu; bo jak oko przez ciągłe natężenie wysila się, w końcu słabnie i utraca moc widzenia, tak samo cały organizm bez snu nie długo przy życiu utrzymaćby się zdołał.



ŚW. REMIGIUSZ. (Zobacz artykuł na str. 307).

Ile brak snu, bezsenność, osłabia i niszczy człowieka, każdy zapewne w swem życiu doświadczył. Długą bezsennością wycieńczony człowiek raczej do trupa, niż do żywego podobien jest. Fizyczne, a więcej jeszcze moralne bóle, snem niezłagodzone, na wskroś osłabiają i niszczą nasz organizm, szybkim krokiem do obłąkania i śmierci prowadzą, a przynajmniej na długo pozostawiają zrujnowany organizm i rozprzężoną harmonią ciała i duszy. Młodzież bądź dla zbytniej pilności i nauk, bądź dla tajnych rozkoszy i niskich namiętności snu sobie odmawiająca, traci wiśność ciała, sprężytość ducha, marnuje fizyczne i umysłowe siły i wcześnie się starzeje. Tak mści się natura za wszelki gwałt, przez lekkomyślność lub nierozsądek sobie zadany.

Przyrodzenie przeznaczyło noc do snu, jak dzień do pracy. Niestósowny czas snu niemniej bezkarnie uchodzi. Wprawdzie świat wyższy dopiero z wieczorem żyć poczyna, ale dla tego też świata wyższego nigdy za przykład zdrowia nie bierzemy; bo zdrowie najchętniej gości u wieśniaków, którzy najmniej od natury odbiegają. Ile przewrotność ta jest szkodliwą, najlepiej okaże przykład następujący. Dwóch pułkowników — mówi Dr. Matecki — długo się nad tem rozwodziło, czy dzień, czy noc odpowiedniejszą jest dla pochodu wojska wśród lata; w końcu jeden i drugi otrzymał pozwolenie uczynienia w tym względzie próby. Skutkiem tego jeden z nich odbywał marsze wśród dnia tylko, gdy drugi przeciwnie korzystał z chłodu nocnego. Po marszu dwustu milowym oka-

zało się, iż ostatni stracił większą część koni i wielu żołnierzy, gdy pierwszy tak tych, jak tamte, zdrowo do zamierzonego miejsca doprowadził. — Zresztą nie dziw, że nie zna różnicy spoczynku dniem lub nocą ten, kto nigdy rano nie wstał, nie zakosztował rannej świeżości, i gdy miłując się takim, jakim jest, nie widzi czerstwości, jakąby miał, gdyby do porządku natury się stósował i w dzień się zatrudniał, w nocy wypoczywał, a rano wstawał.

i nieznośny. Boerhaave (mówi Dr. Matecki) znał człowieka, który szukając szczęśliwości we śnie przedłużonym, nie opuszczał łóżka swego, ale dla tego też wkrótce rozum postradał i liczbę obłąkanych powiększył. — Długość snu zależy nie od długości czuwania, ale od rodzaju i stopnia zatrudnienia, także od wieku, płci, stanu i przyrodzonego usposobienia człowieka. I tąk ludzie umysłowo pracujący dłuższego wypocznienia potrzebują, niż fizycznie



OBLICZE ZBAWICIELA. (Zobacz objaśnienia rycin na str. 317.)

Jak brak, tak i zbytek snu jest szkodliwy. Z przedłużanego snu, z ospałości, koniecznie wynikają: ociężałość, słabość ciała i władz umysłowych, nieudolność, pewna pustość, nieukontentowanie i drażliwy humor, który wszystkim domownikom oprzykrzeniem się staje. Ospały człowiek jest cały dzień do niczego, wstaje ospały, chodzi ospały, je ospały, rozmawia ospały, i całe życie jest ospały, nudny

zatrudnieni. Podobnie dzieci, kobiety, zwłaszcza ciężarne, ludzie powolni, zwykle dłużej sypiają, niż dorośli, mężczyzni, kobiety nieciężarne i osoby żywego temperamentu. Dla jednych wystarczy 5 lub 6 godzin, inni 7 do 8 godzin spać potrzebują.

Po tych ogólnych o śnie uwagach przechodzimy do snu dzieci. Nowonarodzone dziecię tylko snem żyje, ledwo na chwil kilka od

czasu do czasu się obudzi; w pierwszych dniach życia ledwie godzinę na dzień czuwa; w następnych tygodniach po półgodzinnem a najwięcej godzinę trwającem czuwaniu następuje zwykle sen trzy albo cztero-godzinowy, i to bez względu na dzień i noc; od szóstego blisko miesiąca śpią dzieci ryczałtem przez szesnaście godzin, a przez pozostałe ośm godzin chętnie się bawią. Słowem, w miarę postępującego wieku zmniejsza się snu potrzeba, tak że dorosły młodzieniec dostatecznie wypocznie, jeśli przez pięć do ośmiu śpi godzin. Niechaj więc dzieci śpią wiele, tyle, ile same chcą; bo we śnie rosną, sił nabierają i niejednę powstającą chorobę tracą. Wszakże do snu ich przymuszać nie wolno. Niech dziecię zrazu tyle razy i tak długo śpi, ile razy i jak długo samo spać zechce. Ono idzie za potrzebą natury, więc od najbieglejszego medycynera lub pedagoga lepiej samo sobie czas spania wymierzy.

Wszelkie środki, które albo sen, albo czuwanie przedłużają, grożą zdrowiu, a czasem życiu samemu. Dla tego ulepki i wyciągi makówek, a nawet jedna kropla tynktury opium już nieraz przyprawiła niemowlę o życie. Również nie należy niemowlęcia nagle przebudzać; nagłe przebudzenie dziecka przeraża je okropnie, napełnia strachem, i wstrząsa całym systemem nerwowym. Skutkiem wielkiego przerażenia lub przestrachu, dostają maleńkie dzieci dość często kurczów, głuchną, tracą mowę, tępieją na wzroku i umyśle, dostają drżenia w nogach i t. p. Z drugiej strony niech matka nie wpada w przeciwną ostateczność, i niech nie poleca głuchej ciszy i nie chodzi na palcach, by się jej dziecię nie przebudziło. Owszem nie należy dla śpiącego dziecka zmieniać zwykłego ruchu domowego; dziecię ani wymaga, ani potrzebuje takiej ofiary od rodziców, braci i domowników. Więc chódźcie około śpiącego niemowlęcia jak zwykle, rozmawiajcie jak zwykle i nie wypędzajcie z pokoju zwykłego gwaru i ruchu, a nieznarowione dziecię smacznie spać będzie. »Kto nie śmie się ruszyć dla tego, że dziecię usnęło, ten wychowa dla domu swego małego tyrana.«

Matka prawdziwie kochająca nigdy samego dziecięcia śpiącego nie zostawia. Dziecina, co nie umie jeszcze chodzić, ani bronić się rączkami, ani nawet grożącego niebezpieczeństwa rozpoznać, o tyle tylko spoczywa bezpiecznie, o ile czuła opatrzność matki nad niem czuwa, inaczej łatwo staje się ofiarą ognia, uduszenia, drapieżnego zwierzęcia. Pomijam rzadsze przypadki, jak te, gdzie skutkiem takiej nieostrożności szczury żywe niemowlęta najadły, lub sroki i kruki oczy wydzióbały, albo koty położeniem się na twarz dziecięcia tóż zadusiły. Prócz tych wymaga baczności i czuwania po matce wiele innych codziennych wydarzeń. Śpiąca dziecina, jeszcze niezgrabna, często rączkami tak gwałtownie twarz sobie zadraśnie, że już nieraz widziano powstającą ztąd utratę oczu; pierzynka lub poduszka tak łatwo dostaje się na twarz, że już nieraz dziecko się zadusiło i t. p.

Jeden z najpowszechniejszych nałogów jest ten, iż matki i niańki dla uniknienia krzyku, który ich zdaniem przepuklin ma być powodem, nie prędzej kładą dziecię w łóżeczko, aż nie zasnęło im na ręku lub na łonie. Obawa ta jest płonna, a usypianie dzieci nie w łóżeczku jest moralnie i fizycznie szkodliwe: moralnie, bo je czyni wymagalnemi i poucza, że lada ich woli zadość uczynić trzeba, skoro tylko krzyczeć zaczną; fizycznie zaś dla tego, że śpiąc rozmaicie pokrzywione według położenia, w końcu na zawsze krzywemi się stają. A i dla samych matek ten nałóg dzieci wielce jest nużący i szkodliwy. Wcześnie bowiem w takim stopniu przyzwyczajają się dzieci do takiego zasypiania, iż w końcu inaczej spać nie chcą, jak tylko na ręku lub na łonie, tak nie tylko całe wieczory, ale całe noce biedne matki piastować muszą swe dzieci; bo ledwie je złożą na posłanie, ledwie na chwilę je opuszczą, a już z krzykiem się budzą i nie prędzej krzyczeć przestają, aż matka ich do siebie nie weźmie. Prawdziwa to męka, której olbrzym nawet, nie tylko słaba kobieta, w końcu ulegnie. Szkodliwy ten nałóg przychodzi zwykle ze zbytniej i ze źle zrozumianej troskliwości, osobliwie podczas jakiej choroby dziecka. Piękne jest to niespokojne uczucie matek, któreby każdą słabość dziecięcia swego własną krwią okupiły, które w większych chorobach rozstać się z nim nie chcą; bo same czując, jak słodkim jest udział w cierpieniach, chciałyby wszelkie cierpienie dziecka swego podzielić. Ale rozsądek w imię tego samego uczucia ostrzegać je winien, by owoc ich żywota skutkiem zbytecznych pieszczot nie ucierpiał. Dla tego wiedząc o skutkach, jakie za sobą pociąga zasypianie na ręku i łonie, unikajcie go we wszystkich lżejszych słabościach, a skoro większe szczęśliwie przeminą, starajcie się równie ochoczo odzwyczaić dzieci od tego, do czegoście je przyzwyczaić były zniewolone. Wprawdzie nie łatwą to jest rzeczą, ale konsekwencya, wytrwałość i szczera wola wszelkie trudności pokonają. Nie obawiajcie się też matki, aby dzieci z krzyku, lamentów, a nawet rozpaczy kurczu dostać miały. Pierwszego dnia tę rozpacz ich spokojnie i bez wszelkiego udziału, choćby i przez dwie godziny, znieść umieć trzeba; bo znużone żalem, krzykiem i płaczem, zasną w końcu i sen ich będzie bardzo smaczny. Drugiego dnia ta sama scena pojawi się; ale o wiele już krótsza, tak że po upływie dni kilku, spokojnie już zasną, skoro je z wieczora w łóżeczko położysz. Sam w kilku już przypadkach przełamałem podobny upór dzieci (Dr. Matecki), choć jednego razu przez blisko trzy godziny przyszło mi patrzeć na złość dziecka dwuletniego, które boleśnie krzycząc, rozdzierając się, aż tarzało się po ziemi, a tarzało

tylko w celu widzenia ukradkiem, ażali nie patrzą i jego krzykiem nie zmiękczą się. Po upływie trzech godzin zasnęło nieboże i odtąd na mój widok, lub na samo moje przypomnienie nie śmiało być upornem, kochając mnie przy tem równie mocno, jak dawniej. Zupełnie podobne przypadki przytacza także Donne w swem dziele, a z nich jeden, co do własnego syna. Tak więc nie lękajcie się, matki, wcześnie przełamywać uporu dzieci, bo później wszelkie kary nic nie pomogą. Nałóg ciągłego piastowania dzieci w części także już w pierwszych tygodniach po połogu swój początek bierze, gdzie matki pełne szczęścia, radości i poświęcenia, co moment dziecko do siebie brać, z niem się pieścić, huśtać je i śpiewać mu zwykły.

Z poprzedniego wynika, iż dzieci od samego początku życia swego winny sypiać we własnem łóżeczku.

Liczne doświadczenia pouczyły, iż dzieci, co wcześnie przestały sypiać za dnia, nader korzystnie rozwijały się i były zawsze silniejsze i więcej czerstwe, niż te, które aż w rok trzeci i czwarty przy dniowem sypianiu pozostały. Przyczyna tego wypadku nie w czem innem zapewne leży, jak w tem, iż te ostatnie, śpiąc, pozbawione były tem samem przechadzki, świeżego powietrza i ciepła słonecznego; śpią bowiem zwykle w południowe godziny, wśród których, w zimniejszych porach roku, jedynie przechadzać się można, tak że dla tego prawie przez cały czas zimna żyją życiem więźniów. Nadto, śpiąc, dzieci rozgrzewają się, i choć lekko, zawsze jednak się pocą; jeżeli zatem od chwili ocknienia nie dość czasu upłynie, aby zwolna z takowej gorączki zupełnie ochłonęły, co trudno ustrzedz będzie można, gdy dzieci we dnie sypiać będą, natenczas lada zimno, lada zawianie na ciężkie je choroby naraża. Przechadzka zaś, świeże powietrze i ciepło słoneczne, niczem w świecie wynagrodzić się nie dadzą; tylko przez nie żyć i do najwyższego stopnia rozwinąć się można, tylko po nich zwykła noc sprowadzać sen mocny, głęboki, słowem taki, jaki konieczny jest, aby stał się źródłem, z którego organizm swe siły życia czerpie. Ospałości prócz tego skutki wyżej poznaliśmy. Dla tego z tych to wszystkich powodów radzę dzieci tak samo odzwyczajać od sypiania dniowego, jak je swego czasu odłączamy. Czas ten co do snu przypadnie najlepiej około 18-go do 20-go miesiąca, a więc w kilka miesięcy po odłączeniu. I tu zrazu dzieci z trudnością odwykają, a nawet pomizernieją, tak jak i nam lica pobledną, skoro noc jednę snu pozbawieni będziem. Ale dla tego nie lękajcie się troskliwe matki, bo już w dni kilka wytrwałości czerstwość na licach dziecka wykwitnie, a z ócz płomień życia zajaśnieje. Rozumie się jednak, iż w takim razie na przechadzce dzieckiem szczególniej zająć się należy, bo inaczej uśnie piastunce na ręku czy łonie, czego skutki powyżej oznaczone zostały.

Gdy sen tyle konieczny jest do zdrowia, a z drugiej strony unikanie jego wśród dnia tak bardzo jest pożądane, widoczną jest rzeczą, iż dzieci wcześnie z wieczora chodzić spać powinny, aby długością nocy wynagrodzić mogły to, co w dzień zaniedbać musiały. Niechże więc o 7 godzinie do trzeciego lub czwartego roku, o 8 zaś do szóstego lub siódmego roku spać chodzą; bo tak tylko zyskają nocy 11 do 12 godzin. Przytem regularność jak największa zachowaną być winna, bo nic tak bardzo nie niepokoi snu naszego, jak zabawa i rozrywka, przedłużona po za godzinę, w której zasypiać przywykliśmy. Dla tego niczem usprawiedliwić się nie da lekkomyślność niektórych matek, co dla źle zrozumianej chęci rozweselenia dziatek swoich takowe z sobą na wieczorki i teatr biorą, albo w razie liczniejszego towarzystwa u siebie wesołości uczestnikami być im każą. Nie dla dzieci podobna rozrywka; sen i nic jak sen jest dla nich w tym razie konieczny, bo bez niego wkrótce pobledną, zwątleją, apetytu się pozbawią, wychudną i zmarnieją. Owszem zdaniem mojem jest to jeden z najpowszedniejszych powodów następnego skrzywienia i wywyższenia łopatki. Późno w wieczór bowiem czuwające dzieci, gdy do ostateczności wyczerpną się ich siły słabe, porzucą się gdziekolwiek i to w postawie często nie najwygodniejszej głębokim snem zasypiają; a odleżawszy delikatne członki, gdy bólu unikają, krzywią się i ukrzywienie ustalają. Z tych to powodów matki, co życzycie dobrze dzieciom waszym, nie ulegajcie ich płaczom, ni prośbom, ni modłom, ale regularnie o jednej zawsze godzinie bez względu na modę, każcie im udawać się na spoczynek i chrońcie się, aby opóźnionego snu powód na was nie ciężył; a za to cieszcie się nadzieją, że przyjdzie czas, gdzie z dorosłemi dziećmi w dwójnasób bawić się będziecie.

Św. Remigiusz, biskup i wyznawca.

(1-go Października)

Około roku 500 po Chrystusie Panu był w mieście francuzkiem Reims biskupem św. Remigiusz, dla swej świątobliwości szanowany nie tylko od swych owieczek, ale i od pogan, których w onym czasie dużo jeszcze było w tym kraju, który dziś Francyą się nazywa. Cnotliwego i prawego człowieka poważa i czci każdy, poważał też wielce św.

Remigiusza i tamtejszy książę Klodwig, choć poganin, który, posyłając do rozmaitych miast swoje wojsko, kazał mu miasto biskupie omijać, aby z ich załogi biskup nie miał jakiej nieprzyjemności.

Książę ów wdał się w wojnę z Alemanami, jednym z sąsiednich szczepów germańskich czyli niemieckich. Przyszło do bitwy pod Tolpiakiem, niedaleko Kolonii. Wśród bitwy szeregi jego zaczęły słabnąć i szala zwycięztwa przechylała się na stronę Alemanów. Klodwig przerażony tem nieszczęściem, wezwał swych bogów pogańskich na pomoc, lecz to na nic się nie przydało. Wtenczas udał się o pomoc do Boga, o którego potędze opowiadała mu żona jego Klotylda, chrześcianka, i którego chwałę w jego kraju głosił ś. Remigiusz. Wyciągnąwszy więc ręce ku niebu, zawołał: Pomóż mi, Jezu Chryste, bo moje bogi mnie opuszczają. Jeżeli mnie wspomożesz w tej biedzie, to uwierzę w ciebie.

Zwyciężył i pospieszył do Reims z prośbą do biskupa Remigiusza, aby go ochrzcił. Ciesząc się ten rybitwa Chrystusowy z połowu tak wielkiej ryby, nauczył księcia wiary św. i do chrztu św. przysposobił. Klodwig pragnął, aby i jego żołnierze zostali chrześcianami, dla tego zgromadziwszy ich raz, upominał, aby poszli za jego przykładem, wyrzekli się fałszywych bogów, a oddali cześć Bogu, któremu zawdzięczają zwycięztwo. Wzruszeni łaską bożą żołnierze, zawołali jednogłośnie: »Wyrzekamy się bogów śmiertelnych, a gotowi jesteśmy czcić prawdziwego Boga, tego, którego Remigiusz sławi.« Chrzest księcia postanowił odbyć św. Remigiusz w wigilią Bożego Narodzenia z wspaniałą uroczystością. Na dzień ten, pamiętny w dziejach narodu francuskiego, kazał św. biskup ozdobić ściany kościoła kosztownemi materyami, zapalić tysiące świec, zaprawionych przyjemnemi wonnościami, rozsiewającemi miłą woń po całym kościele. Do tak przyozdobionego kościoła urządził wspaniałą procesyą z pałacu książęcego, na której czele wśród licznego tłumu ludu i żołnierzy postępował św. Remigiusz, prowadząc księcia za rękę. Stanąwszy przed chrzcielnicą, zażądał Klodwig chrztu. Wtenczas św. biskup, bacząc na to, że w obec Boga wszyscy ludzie są równi, z wielką powagą zawołał: »Schyl z pokorą głowę, dumny poganinie, i oddaj pokłon ukrzyżowanemu Jezusowi.« Książę stał się łagodnym jak baranek, schylił głowę i został ochrzconym. Razem z nim zostali także ochrzceni jego żołnierze.

Od nawróconego księcia uzyskał św. Remigiusz wiele majętności dla Kościoła, za które pobudował wiele świątyń pańskich i uposażył stolicę biskupią, założoną przez siebie w swem rodzinnem mieście Lugdunie.

Pan Bóg dozwolił św. Remigiuszowi doczekać się sędziwej starości i jeszcze za życia wsławił go licznymi cudami, które utwierdzały jego naród w wierze św. i pobudzały go do chwały boskiej i do pobożności.

Za wzorem ś. Remigiusza:

1. Ciesz się z nawrócenia grzesznika i dopomóż mu, aby wytrwał w cnocie.

2. Przyczyń się, czem możesz, do ozdoby domu bożego.

KSIĄŻĘCE DZIECKO.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

VII.

W jednej z najładniejszych winiarni Paryża siedziało pewnego dnia roku 1820 wesołe towarzystwo, z oficerów się składające, przy stole, na którym wiele butelek z winem szampańskim, a jeszcze więcej próżnych stało. Widać, że już wiele wypito, bo wszyscy uczestnicy tej biesiady już byli nietrzeźwi; niektórzy siedzieli niedbale na krzesłach i, zwiesiwszy głowy, drzemali; inni położyli głowę na stole, bo im już zanadto ciążyła; kilku natomiast jeszcze do kieliszków się brało i, gadając jeden przez drugiego, wielką wrzawę sprawiali.

W środku siedział blady człowiek w mundurze kapitana; byłto znany nam kapitan Ekuson. Zdawało się, że on był najtrzeźwiejszy i najspokojniejszy ze wszystkich, a jednak łatwo było można poznać, że jest główną osobą w tem towarzystwie, bo do niego zwracali się wszyscy. Kapitan był smutny i miał powód do tego; przed godziną może grano tu w karty; on był bankierem i przegrał wszystkie pieniądze, jakie posiadał. Dla tego nie brał udziału w wesołej rozmowie, zasępił czoło i, patrząc pod stół, gdzie karty i butelki leżały, rozmyślał nad sobą i swojem położeniem.

— Niech żyje kapitan Ekuson! — zawołał jeden z najmłodszych oficerów.

— Niech żyje przyszły mąż milionowej panny! — dodał inny.

— Niech żyje przyszły milioner! — przytwórzył trzeci.

Na to podnieśli się wszyscy, którzy jeszcze tyle sił mieli, z krzeseł i krzycząc a śpiewając,

wypróżnili kielichy na cześć kapitana. Ekuson kłaniał się na wszystkie strony i dziękował.

— Wina! Więcej wina! — zawołało kilku, widząc przed sobą próżne butelki.

— Koledzy — odezwał się na to jeden ze starszych — pamiętajcie, że to trzeba zapłacić, a rachunek nasz dzisiejszy już i tak pewnie wielki.

— Ej, co tam — zawołał inny — gdy się pije na zdrowie milionera, to nie potrzeba się pytać o to, ile rachunek wynosi! Przecie na kilku butelkach wina nam nie zależy.

— Prawda! — przywtórzyli inni.

— Za pozwoleniem — wtrącił jeden ze starszych — kapitan nie posiada tymczasem ani miliona, ani hrabianki.

— Nie gadaj, kolego, — zakrzyczeli go. — Czy ty się trwożysz o to, abyś nie musiał zapłacić tego, cośmy tu wypili? Albo czy myślisz, że taka niemiecka hrabianka nie będzie uważała za wielkie szczęście, wyjść za mąż za francuskiego kawalera?

— No, no — ostrzegał tamten.

— Co? — wrzasnął ów młody i, czując się obrażonym, sięgnął ręką do boku, jakby pałasza szukając.

— Bądźcie spokojni, panowie — odezwał się na to kapitan Ekuson — i nie rozpoczynajcie sporu. Szczęście kołem się toczy. Nie psujmy sobie uciechy.

— Brawo! — zakrzyknęła kompania. — Wina! Więcej wina!

Służba postawiła kosz wina na stole i zaczęła się hulanka do białego prawie dnia. Wreszcie rzekł jeden z oficerów:

— Panowie! Mnie się zdaje, że już czas do domu.

Nikt się już temu nie sprzeciwiał i wszyscy powstali, jak szło, z krzeseł i poczęli na siebie płaszcze zarzucać, bo ranek był mroźny.

I kapitan powstał. Przy drzwiach podał mu służący płaszcz a potem rachunek. Kapitan rzucił tylko wzrokiem na papier i rzekł:

— Ośmset franków! Dobrze. Za kilka dni zapłacę wszystko.

Służący ukłonił się, nie rzekłszy ani słowa.

— Do widzenia, panowie — odezwał się kapitan do kolegów, — proszę niczego nie płacić, bo ja wszystko zapłacę.

Potem pożegnał się z wszystkimi i wyszedł na ulicę. Otuliwszy się płaszczem tak, że go nawet z trudnością poznać było można, kroczył szybko ulicami pustemi ku części miasta, zamieszkanej przez biedniejszą ludność. Nie wszyscy mieszkańcy tamtejsi byli jednak biedni, choć mieszkali w małych domach i zbytku nie robili. Do jednego z tych niskich domków wszedł kapitan i, przeszedłszy ciemny i wąski kurytarz, zapukał do drzwi, na których wisiała tabliczka z napisem: »Abraham Frenkel.« Po kilku minutach otworzyła służąca drzwi i zapytała, czegoby sobie gość życzył?

— Czy pan Frenkel w domu? — zapytał kapitan.

— Tak jest — odpowiedziała służąca — proszę, wejdźcie.

Kapitan wszedł do izdebki niskiej a dusznej, w której przy stole mały, stary, chudy człowieczek siedział. Ubranie jego było wytarte, tu i owdzie nawet podarte; na głowie miał małą aksamitną czapeczkę. Usłyszawszy, że ktoś do izby wchodzi, podniósł się coprędzej z krzesła i rzekł:

— Witam pana barona, witam! Czem mogę służyć?

Kapitan, usiadłszy na krzesełku, odetchnął ciężko i powiedział:

— Przychodzę do pana, aby pomówić w sprawie weksla mego, który dziś jest płatny. Wynosi on, jeśli się nie mylę, siedm tysięcy franków.

— Istotnie, tyle wynosi panie baronie — odpowiedział żyd.

— Niestety, niepodobna mi go dziś zapłacić — rzekł na to kapitan.

Żyd posmutniał.

— Panie baronie — rzekł — już mnie pan dwa razy zmusiłeś do przedłużenia terminu; poraz trzeci przedłużać nie mogę, bo toby tak szło dalej, a w razie gdyby pan baron lub ja umarł, to wszystko mi przepadnie.

— Ale ja przecie dopisałem panu tysiąc franków przy każdem przedłużeniu — zawołał kapitan.

— Cóż mi to pomoże, gdy nigdy pieniędzy nie dostanę — odparł żyd i wzruszył ramionami.

— Panie Frenklu, — odrzekł proszącym prawie głosem kapitan — bądźcie rozsądni. Dziś wam zapłacić nie mogę, ale wkrótce będę mógł to uczynić i zapewniam was, że szkody przy tem mieć nie będziecie.

— Panie baronie! Żaden człowiek nie staje się z biednego w mgnieniu oka bogatym.

— Ale ja ożenię się bogato i już jestem zaręczony z córką hrabiego Arnsteina, milionowego pana.

Żyd spojrzał na barona i zdawało się, jakby się namyślał.

— Słyszałem ja wprawdzie o tem, — rzekł — ale jak długo to jeszcze potrwa?

— To zależy od pana, panie Frenklu.

— Odemnie? Pan baron sobie żartuje?

— Wcale nie żartuję. Ja dziś głównie w tym zamiarze przyszedłem, aby od was jeszcze takiej sumy pożyczyć, jakiej potrzebuję do doprowadzenia małżeństwa mojego do skutku. Suma ta wynosi dwanaście tysięcy franków. Czy możecie mi tyle pieniędzy pożyczyć?

Lichwiarz podniósł głowę i spojrzał badawczo na kapitana.

— Ja panu tej sumy pożyczę — odrzekł — ale pod tym warunkiem, jeżeli mi pan przyniesie podpis pana hrabiego Arnsteina, jako ręczyciela.

— Ale czegóż wy żądacie? Cóżby pan hrabia powiedział, gdybym go chciał o taką przysługę prosić?

— Ja się pana barona nie będę pytał, czy to hrabia podpisał, czy nie, — odpowiedział żyd — bylebym tylko jego podpis miał na papierze.

Kapitan zbladł i odezwał się półgłosem:

— A więc radzicie mi, sfałszować podpis hrabiego!

— Tego nie powiedziałem — zawołał żyd, niby przestraszony. — Pan baron może uczynić, co mu się podoba; ja nie pożyczam własnych pieniędzy, lecz obce, i dla tego muszę mieć poręczycieli.

— Ale przecież ja ożenię się z hrabianką i dostanę jej majątek; czyż wam to nie wystarcza?

— To jest tylko plan, panie baronie! Może się zdarzyć, żeby pan lub hrabianka zmarli, albo żeby małżeństwo do skutku nie przyszło, a wtedy ja siedziałbym na piasku. Pan wie już moje warunki, nie odstąpię od nich.

Żyd przestał mówić i na chwilę zapanowało milczenie w izbie. Kapitan oparł głowę na ręku i myślał; wreszcie powstał i rzekł:

— Zgoda tedy; ja wam przyniosę weksel z podpisem pana hrabiego, ale wy musicie mi przyrzec, że nie będziecie go przedkładali hrabiemu, tylko mnie i nie prędzej, aż weksel stanie się płatny. Jabym nie chciał, aby...

— Zgoda — odpowiedział żyd. — Nie wydam weksla prędzej, aż w dzień płatności i przedłożę go panu.

— Dziękuję — odparł kapitan i wyszedł.

Gdy żyd sam pozostał w domu, usiadł znowu przy stole i mruczał sobie:

— Niby mnie nie rozumiał, a jednak zrozumiał. Już on mi podpis hrabiego przyniesie, bo już mu się woda za kołnierz leje. Gdy mi zaś podpisu dostarczy, natenczas mam go w ręku. Wtedy będę jego najpierwszym właścicielem, i z pewnością będzie się starał, oddać mi pieniądze, bo się będzie obawiał, że świat się o sfałszowaniu podpisu na wekslu dowie. On myślał, że dam mu pieniądze bez wszystkiego! O nie, mój panie! Wielcy a marnotrawni panowie nazywają mnie lichwiarzem niegodziwym! Niech nazywają. Nie domyślają się, jak wiele ofiar poniosłem, zanim zdołałem sobie uzbierać tyle pieniędzy. Ile przecierpiałem głodu, ile szyderstwa zniosłem, gdym jeszcze był młodym i biednym! Jak robaka deptał mnie każdy i szydził sobie z biednego żyda. A teraz, gdym się zestarzał, ale gdy niezliczone bogactwa posiadam? Teraz przychodzą do mnie i pochlebiają mi najwięksi i najdumniejsi tego świata. Tu, w tej izbie popłaczą się hrabiowie i hrabianki, abym im tylko pieniędzy pożyczył. Niedawno temu kłaniał mi się tutaj minister, przed którym drżą tysiące! Jam mu powiedział kazanie, jak chłopcu szkólnemu; on słuchał, musiał słuchać cierpliwie, bo potrzebował pieniędzy. Ach ten pieniądz, ten pieniądz! To bożek wszechwładny; on daje moc, daje wpływ ogromny; on też jest dla mnie środkiem zemsty za wszystko, com przecierpiał, będąc młodym jeszcze.

To mówiąc, kurczył się cały, a oczy jego rzucały ogniste pociski do koła. Po chwili, gdy się uspokoił, usiadł znów przy stoliku i zaczął rachować.

W godzinę potem zapukał ktoś do drzwi i zaraz też wszedł pan baron, widocznie rozdrażniony i wzburzony.

— Oto weksel — rzekł, podając papier żydowi.

Ten wziął papier w rękę, przyjrzał się dokładnie podpisom i rzekł:

— Więc pan hrabia jednak podpisał!

Potem otworzył żelazną skrzyneczkę, dobył z niej kilka rulonów złota i rzekł:

— Oto ośm tysięcy franków, panie baronie.

— Ależ ja weksel na dwanaście tysięcy wystawiłem — odezwał się na to kapitan.

— Odciągnąłem sobie zaraz procent, panie baronie — odpowiedział żyd spokojnie. — Jeżeli się wam to nie podoba, to pieniędzy nie dam.

Kapitan zgrzytnął zębami, zgarnął pieniądze i wyszedł z izby żyda jako niegodny fałszerz!

VIII.

Włodzimierz przyjechał z Karolem szczęśliwie do Paryża. Dawniejsi jego nauczyciele zaopatrzyli go w listy polecające do pewnego lekarza, nazwiskiem Romberk, który od dawnych lat w Paryżu mieszkał i był domowym lekarzem wielu znakomitych rodzin. Doktor ten przyjął Włodzimierza bardzo serdecznie, a ponieważ był bezdzietny, przeto zaprosił go do swego domu na mieszkanie. W ten sposób stało się, że tak Włodzimierzowi, jak i jego towarzyszowi Karolowi powodziło się w Paryżu bardzo dobrze. Karol zmienił się do niepoznania, a w sercu jego zbudziła się bezgraniczna wdzięczność i miłość dla tego, który go z upadku podniósł, to jest, dla Włodzimierza. Stał się dla niego najlepszym przyjacielem, najwierniejszym sługą.

Czasami rozmawiali obaj o rodzinnych stronach i o rodzicach; wtedy Karol płakał nad swojem obłąkaniem i powtarzał przed Włodzimierzem, jako nigdy przenigdy na drogę grzechu i występku nie wejdzie. Ten słuchał go i pocieszał mówiąc:

— Mnie nie przyrzekaj, ale zmień się przed Bogiem.

Podawał mu też dobre książki do czytania i świecił mu dobrym przykładem. Pomimo wielorakiego zatrudnienia i pomimo rozrywek, o jakie w wielkiem mieście nie trudno, nie zaniedbywał Włodzimierz nigdy obowiązków religijnych ka-

tolika i zawsze postępował tak, że i Bogu i ludziom był miły.

Pewnego dnia odezwał się dr. Romberk do Włodzimierza:

— Kochany panie Włodzimierzu! Zapomniałem zupełnie, że przed kilku dniami mówiłem z panem margrabią Beziers, który pana przezemnie na bal zaprosił, a bal ten właśnie dziś się odbywa. Przecie pan pójdzie zemną na ów bal? Przepraszam pana, że dziś dopiero o tem mówię, ale pamięć mi jakoś słabnie.

— Bardzo chętnie, panie doktorze, — odrzekł Włodzimierz — ale....

— Nie chcę niczego słyszeć, — przerwał mu dr. Romberg — pan musisz iść zemną. Młody lekarz, który chce, aby mu się dobrze powodziło, musi nietylko gorliwym być w szpitalach i po nocach jeszcze się uczyć, ale także zabierać znajomości z ludźmi wpływowymi, a nie powinien też uciekać przed kobietami, lecz raczej starać się o zaskarbienie sobie ich względów. Wiedza lekarska winna być wprawdzie dla niego zawsze główną rzeczą, ale mądrego postępowania nie należy naniedbywać. Mówię z doświadczenia a szczerze, bo panu dobrze życzę. Dla tego, mojem zdaniem, powinien pan udać się dziś zemną na bal. Zgoda?

Chcąc niechcąc musiał się Włodzimierz zgodzić.

Bal był wspaniały; wszystko, co Paryż miał najznakomitszego, nagromadziło się w paradnych pokojach margrabiego. Włodzimierz nie czuł się onieśmielonym wśród tego bogactwa i zachowywał się skromnie, ale pewno i z godnością w kole bogatych i możnych ludzi. Miał zresztą przy boku zawsze swego serdecznego przyjaciela, dr. Romberka, który ułatwiał mu znajomości i zapoznawał z każdą osobą, która coś znaczyła.

Wtem serce zabiło żywiej Włodzimierzowi, bo w tej chwili weszła do sali piękna, bogato przybrana dama, hrabianka Helena! Wpatrzył się w nią tak bardzo, że nie słyszał nawet, jak mu dr. Romberk szeptał do ucha. Ogarnęło go takie wzruszenie, że oprzeć się musiał o słup. Hrabianka, która szła w towarzystwie ojca i kapitana Ekuson, musiała przechodzić tuż obok miejsca, gdzie Włodzimierz stał. Z drżeniem serca oczekiwał tego momentu. Nadchodzą; hrabianka spostrzegła go, poczerwieniała, a uśmiechnąwszy się, skinęła głową uprzejmie! Włodzimierz czuł się szczęśliwym!

Mniej szczęśliwym był pan kapitan Ekuson; spostrzegł on bowiem, że hrabianka Helena z wielką serdecznością rozmawiała z młodym lekarzem, a do niego tylko kiedy niekiedy obojętne słówko wyrzekła. Domyślił się, że tych dwoje ludzi wiąże silniejszy węzeł, aniżeli sama przyjaźń; ogarnęła go przeto złość wielka, bo czuł, że bogata panna wysunie mu się z ręki, a z nią i miliony, o które mu przedewszystkiem chodziło. Gdy o tem pomyślał, drżał jak w febrze; całą przyszłość, życie swoje stawił na kartę; gdyby przegrał, natenczas wszystko się skończyło. Na balu był w złym humorze, choć uśmiech miał na twarzy. A gdy się hrabianka z balu oddaliła, udał się i on do domu, ciągle medytując nad tem, jakby przeciwnika swego z drogi mógł usunąć.

Przypadek zdarzył, że nawinął mu się człowiek, który mu w jego przedsięwzięciu mógł dopomódz.

Gdy bowiem do domu przyszedł, powiedział mu służący, że od dwóch godzin czeka na niego jakiś nieznany człowiek i odejść sobie nie chce.

Kapitan zły i zniecierpliwiony zawołał:

— Wyrzuć go za drzwi!

— Ho! ho! To jakoś ostro — odezwał się w tej chwili głos z za drzwi, a tuż zaraz wszedł mężczyzna w nędznem ubraniu a o dzikiem wejrzeniu.

— Wynoś się! — zawołał tenże na służącego, który z osłupieniem patrzał na kapitana. Ten skinął ręką, aby wyszedł. Służący oddalił się, głową potrząsając.

— Nie poznajesz mnie, kochany kolego? — rzekł teraz przybysz.

— Tyś Hieronim Brantin! Zkąd przychodzisz?

— Wprost z Tulońskiego więzienia!

Ta odpowiedź uderzyła w kapitana, jak piorun.

— Co? Jak? — zawołał.

— Z więzienia Tulońskiego — powtórzył przybyły. — Ale nie dziwmy się wiele, lecz porozummy się krótko i węzłowato. Czuję doskonale, że w takiem ubraniu nie mogę cię długo molestować. Dla tego pospieszę się z powiedzeniem ci, po co przychodzę. Gdyśmy w szkole razem, pamiętasz? zakradli się do kasy dyrektora, wtedy tyś zdołał uciec, a mnie schwytano i z zakładu wypędzono. Potem upadałem coraz niżej. Przypominasz sobie zapewnie, żeś mnie razu pewnego spotkał w eleganckiej winiarni na bulwarach. Ho, ho, wtedy były dobre czasy i pieniędzy miałem sporo.

— Wiem, wiem, — przerwał kapitan — wtedy grałeś wysoko i oszukiwałeś.

— A tyś mi prawdziwie po przyjacielsku w tem dopomagał — odciął się Brantin. — I tam mnie schwycono. Gdy mnie brali, broniłem się i zabiłem jednego z policyantów. Za to dano mi piętnaście lat ciężkiego więzienia. Kilka lat przesiedziałem; wreszcie znudziło mi się i uciekłem. Najpewniejszy jestem w Paryżu i dla tego przybyłem tu dotąd. Potrzebuję pieniędzy, aby się inaczej przyodziać. Ty, mój przyjacielu, musisz mi dopomódz.

Kapitan słuchał i widać po nim było, że rozmyśla i zastanawia się. Wreszcie rzekł prędko:

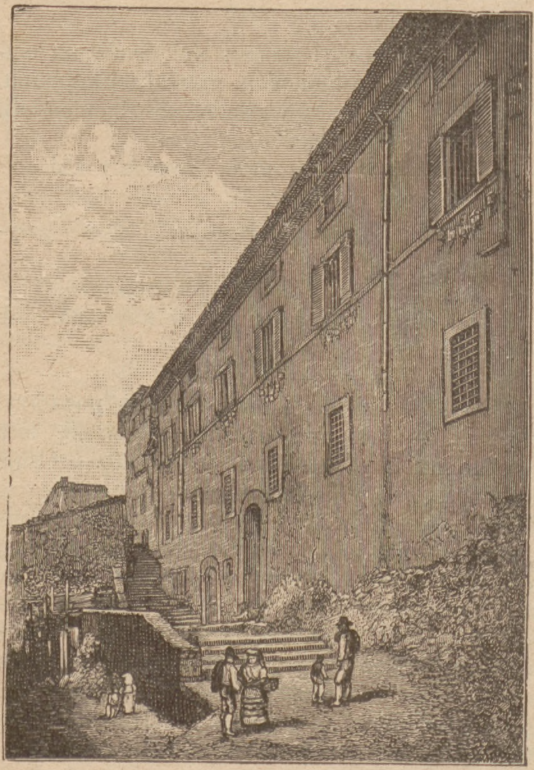
— Ty i ja moglibyśmy rozporządzać wielkim majątkiem, gdyby nam pewien człowiek w drodze nie stał.

— To ja go uprzątnę — odpowiedział spokojnie Brantin.

— Tyś stósowny do tego — odrzekł kapitan; — lecz tutaj nie możemy o tem mówić; chodźmy, bo ściany mają uszy.

— Dobrze mówisz — odpowiedział Brantin — i ja nie mogę zbyt śmiało pokazywać się na ulicy. Chodźmy przeto do mojej kwatery; potrzeba zresztą, abyś wiedział, gdzie ja mieszkam.

To powiedziawszy, wyszli z mieszkania kapitana, a Brantin wziął sobie bez ceregieli płaszcz swego przyjaciela. Przeszedłszy kilka ulic, stanęli przed gospodą, do której Brantin zapukał. Gdy weszli do ciemnej sieni, odezwał się:



Dom rodzinny Ojca św. Leona XIII.
(Zobacz objaśnienia rycin na str. 317)

— Widzisz, tutaj mieszkam, i to jeszcze bardzo elegancko, bo na pierwszem piętrze.

— Ależ tu ciemno, że oko wykól — zawołał kapitan.

— To nic nie szkodzi. My nie lubimy światła. Chodźmy na górę.

Brantin wszedł szybko, kapitan musiał się prawie drapać pod górę. Wreszcie stanęli w niskiej izbie, która wyglądała jak magazyn starych sprzętów i rzeczy.

— Oto moja siedziba — rzekł Brantin — proszę cię, usiądź i przystąpmy zaraz do interesu. Przedewszystkiem potrzebuję pieniędzy na życie i przyodzianie się. W tej odzieży, którą mam na sobie, nie mogę się nigdzie pokazać, bo policya zaraz zwróci na mnie oko.

— To widzę — odpowiedział kapitan i, wydobywszy sakiewkę z kieszeni, położył kilka złotych pieniędzy na stół.

— Dziękuję — rzekł na to Brantin. — Teraz powiedz, gdzie mieszka ów człowiek, stojący ci na zawadzie. Gdzie go można spotkać?

— Tego nie wiem; tyle tylko wiem, że nazywa się dr. Włodzimierz Broda, jest lekarzem i jest zatrudniony w lazaretach.

— Hm, — mruknął przyjaciel — to sprawa niełatwa, bo trzeba się dopiero wywiedzieć o wszystkiem. Ale jestem pewien, że uda mi się go znaleść. Co mi jednak dasz za to, gdy go uprzątnę?

— Dziesięć tysięcy franków — odrzekł kapitan.

— Szacujesz tego nieprzyjaciela niezbyt wysoko — zaśmiał się Brantin. — Ale mniejsza o to. Daj mi to na piśmie.

Kapitan wzdrygnął się, ale towarzysz, nie zważając na to, wydobył pióro, atrament i papier i rzekł:

— Teraz pisz: »W dniu, w którym dr. Włodzimierza Brodę pochowają, wypłacę właścicielowi tego obligu sumę dziesięciu tysięcy franków.

Baron Ekuson.

— Czyś ty zmysłów pozbawiony! — zawołał kapitan. — Gdy ci takie pismo wystawię, toć będzie dowód na piśmie, że jestem sprawcą morderstwa!

— To mi wszystko jedno — odpowiedział spokojnie Brantin. — Ja podejmuję się tylko takich spraw, przy których nagroda pewna. Chcesz, czy nie chcesz?

Kapitan wziął pióro i napisał.

IX.

Dom lichwiarza Fejtla stał jeszcze jak ongi przed laty, tylko się więcej pochylił i popsował. Fejtel już umarł przed kilku laty, więc w domu gospodarzyła żona jego z bratem. Nie powodziło im się wcale i żyli z dnia na dzień w wielkiej biedzie.

Pewnego wieczoru siedzieli oboje przy stole zabrudzonym, na którym stała tuż przy świecy, zasadzonej w wielką ćwikłę, butelka z wódką. Fejtlowa wyglądała strasznie; włosy miała w nieładzie, twarz wychudłą, oczy przygasłe. Brat jej, dawniej tęgi mężczyzna, zeszczuplał do niepoznania; włosy na głowie i brodzie posiwiały.

Oboje milczeli. Wtem odezwał się na ulicy turkot wozu. Kto to? Wóz zatrzymał się przed ich domem. Oboje spojrzeli po sobie.

Zapukano do drzwi. Brat Fejtlowej powstał i gdy drzwi otworzył, weszło do izby dwóch porządnie ubranych mężczyzn.

Fejtlowa, powstawszy z ławy, ukłoniła się przybyłym i zapytała, czegoby sobie życzyli.

Brat jej wydał w tej chwili okrzyk, bo poznał w jednym z podróżnych owego człowieka, który przed laty przywiózł im był małego Włodzimierza. Teraz, gdy odsłonił twarz, poznała go i Fejtlowa i drżąc stała przed nim, czekając, co dalej będzie.

— Gdzie jest Włodzimierz? — zapytał przybyły.

— Umarł — odrzekła Fejtlowa.

— Przed pół rokiem — dodał jej brat.

Pytający zbladł i zmięszał się, ale tylko na chwilę.

— Pokażcie mi poświadczenie śmierci — rzekł.

— Teraz Fejtlowa się zmięszała, ale brat jej odpowiedział za nią:

— Myśmy nie żądali żadnego poświadczenia.

— Natenczas pójdę zapytać się do księdza proboszcza — rzekł przybyły.

Te słowa tak zmięszały obojga, że każdy musiał po nich poznać, iż nieprawdę mówili. Poznał to i obcy, bo zawołał:

— Wyście go zamordowali!

To mówiąc, pochwycił za kark Fejtlową, a drugi mężczyzna wymierzył pistolet ku jej bratu.

— Teraz gadajcie prawdę!

— On nie umarł, lecz uciekł nam — zawrzeszczała Fejtlowa.

Podróżny, gdy to usłyszał, wypuścił ją z swych żelaznych palców.

— Nie nasza to wina, — mówiła Fejtlowa — że nam chłopiec uciekł; zresztą od sześciu lat nie dostaliśmy ani fenyga z przyrzeczonych nam pieniędzy. Długo nie wiedzieliśmy, gdzie się znajduje.

— Ale teraz wiecie?

— Wiemy — odpowiedziała Fejtlowa, prostując się. — Co nam dacie za to, gdy wam powiemy?

Przybysze zmiarkowali, że groźbami nie zdołają dowiedzieć się o miejscu pobytu Włodzimierza i dla tego przyrzekli Fejtlowej sporą sumę pieniędzy.

Wtedy dopiero opowiedział brat Fejtlowej, jak Włodzimierz uciekł i jak długo nie mieli o nim żadnej wiadomości i przekonani byli, że zginął. Dopiero w pięć lat potem dowiedzieli się przypadkiem, że hrabia Arnstein przyjął pewnego sierotę do siebie. Przekonali się, że to był Włodzimierz, ale nie ważyli się upominać o niego, obawiając się policyi.

— Bogu chwała — zawołał jeden z podróżnych — Włodzimierz wychował się tedy i żyje między porządnymi ludźmi!

Potem wypytał się jeszcze dokładnie o drogę do zamku hrabiego Arnsteina i wychodząc rzucił na stół sakiewkę pełną złota.

— Oto wasza zapłata, — zawołał — abyście nie mówili, że was oszukano.

Krótko potem zaturkotał wóz; podróżni odjechali do zamku hr. Arnsteina.

Zaledwie podróżni z izby wyszli, rzuciła się Fejtlowa z bratem na sakiewkę i zaczęli liczyć dukaty. Ponieważ była ich spora liczba, przeto radość ich nie miała granic.

— Idź po wódkę! — zawołała Fejtlowa, a brat zaraz chętnie jej rozkazu posłuchał. Gdy wyszedł, zgarnęła złoto ze stołu i ukryła je pomiędzy staremi rzeczami w kącie. Natomiast wydobyła ztamtąd truciznę na szczury.

— Dla czego mam się z nim podzielić pieniędzmi? — zamruczała, a oczy jej zabłyszczały.

Krótko potem wrócił brat i przyniósł wódki, mięsa, sera i chleba. Wesoło zasiedli oboje do jedzenia.



NASTĘPCA TRONU ROSYJSKI.
(Zobacz objaśnienia rycin na str. 318).

— Mnie się zdaje, jakobyś zapomniał był zaryglować drzwi? — odezwała się Fejtlowa po chwili. Brat wyszedł z izby, ażeby się przekonać, a z tej chwili skorzystała jego siostra i wsypała do flaszki z wódką trucizny na szczury. Potem przewróciła umyślnie ćwiklę, w której świeca stała, a ciemność ogarnęła izbę.

Brat, gdy wrócił, sądził, że siostra w pijaństwie to uczyniła, i rzekł:

— No, czyś już taka pijana, że nie wiesz, co robisz?

— Czy mi zazdrościsz tych kilku kropli? — zapytała Fejtlowa. Wypij tedy sam wszystko, co jeszcze we flaszcze pozostało.

Brat nie odpowiedział ani słowa, lecz zapaliwszy świecę, zaczął zajadać i zapijać. Ona, położywszy się pod piecem, niby spała, ale od

czasu do czasu otwierała oczy i przenikliwie patrzała na pijącego.

Gdy tenże jeść przestał, a w głowie mu się kręcić zaczęło, przypomniał sobie o pieniądzach. Porwawszy się z siedzenia, zawołał:

— Gdzie schowałaś pieniądze?

I jakby chcąc sobie dodać odwagi do tego, co zamierzał, wypił resztę wódki z flaszki.

— Oddaj pieniądze! — zawołał, zbliżając się ku niej.

Ona ani się nie poruszyła.

— Ha, to ty nie chcesz się podzielić? — zawrzeszczał i, rzuciwszy się na nią, schwycił ją za gardło obiema rękoma. Ona zaczęła się bronić, lecz nie mogła przemódz pijanego a rozwścieklonego człowieka, który ją tak długo dusił, aż zadusił. Dopiero wtedy oprzytomniał i pochyliwszy się nad trupem, wołał ją po imieniu i pociągał za ręce. A wtem poczuł straszliwy ból w żołądku; zdawało mu się, jakby mu do żołądka gorący ołów wlewano; padł na ziemię, zachrapiał i wyzionął ducha...

W kilka dni potem otworzyła policya dom Fejtlowej i znalazła dwa trupy, obok siebie na ziemi leżące, a między szmatami sakwę ze złotem. Wytoczono śledztwo w tej sprawie, ale nie zdołano się niczego dobadać.

Lud okoliczny opowiadał sobie, że djabeł zadusił Fejtlową i jej brata.

(Dokończenie nastąpi).

ZIEMNIAKI.

Któżby nie znał ziemniaków? Człowiek bez ducha, bez oświaty, patrzy na wszystko, patrzy i na ziemniaki »jak ciele na nowe wrota«, patrzy, nic sobie przytem nie myśli, zasadzi ziemniaki, wybierze, część zje, a część sprzeda i — koniec. Zaś człowiek, co to nie od parady nosi głowę na karku, co to wie, że Bóg dał człowiekowi rozum na to, aby go użył, aby go do użytku wyślufował nauką i myśleniem, taki człowiek ciekawy jest, dowiedzieć się czegoś więcej o ziemniakach, które widzi, sadzi, je, sprzedaje lub kupuje. Dla takich ciekawych i myślących ludzi opowiemy coś o ziemniakach.

1. *Ojczyzna ziemniaków.* Nie wszystkie rośliny rosną wszędzie, trzeba je sprowadzać z okolicy, gdzie rosną, do takich, gdzie ich nie ma, jeżeli im dogodny jest grunt i powietrze (klimat.). Ziemniaki dostały się do nas z Ameryki, lecz nie wiedzieć, z której okolicy, mówią że z kraju, nazwanym Peru, z czego też miejscami nazywają podobno te owoce »perki.« W Ameryce jest 18 gatunków ziemniaków, które się różnią pomiędzy sobą i od naszych ziemniaków. Z tych ziemniaków nasze nie pochodzą. Dzikie ziemniaki rosną na górach i wyspach amerykańskich, na górach Kordylierach i na wyspie Juan-Fernandez. Zawsze w Ameryce ojczyzna ziemniaków, i to południowej stronie Ameryki.

2. *Jak się dostały ziemniaki z Ameryki do Europy,* tego dokładnie nie wiedzieć. Jedni mówią, że Hawkins, handlujący niewolnikami, przewiózł je do Irlandyi roku 1565, inni piszą, że to uczynił admirał angielski Raleigh w roku 1584, i że je sprowadził z prowincyi amerykańskiej Wirginii. Raleigh też zasadził ziemniaki w Irlandyi. Do Anglii przywiózł ziemniaki admirał Drake. Człowiek ten ze zwyczajnego chłopca na okręcie doprowadził do admirała, naczelnika głównego okrętów, i zebrał przez podróże do Ameryki wielkie bogactwa. Podczas wyprawy do Ameryki przybył ze swymi okrętami na wyspę Mocha. Tu przynieśli ludzie ziemniaki i owoce dla Europejczyków. To zapisał Drake w swojej księdze okrętowej. Mówią, że tenże Drake przesłał ziemniaki przyjacielowi w Anglii, polecając mu, aby takowe zasadził, bo to bardzo pożyteczna roślina, którą wartoby zaprowadzić w Europie. Przyjaciel Drakiego zasadził ziemniaki, lecz jako pożyteczny owoc uważał nasienie ziemniaków w kulkach zielonych, a nie owoce, w ziemi się znajdujące. Owoce ziemniakowe górne w jesieni zerwano, upieczono w maśle, posypano cukrem i cynamonem i dano gościom, umyślnie zaproszonym, do jedzenia. Lecz nikomu nowa potrawa nie smakowała, którą chyba dla dzikich ludzi uważano za dobrą. Później wszedł znowu przyjaciel Drakego, do którego ziemniaki przyszły, do ogrodu i zobaczył miejsce, na którem ogrodnik ogień był zapalił. W popiele spostrzegł jakieś okrągłe kulki, rozgniótł jednę nogą, a ta bardzo mu zapachniała, to była woń pieczonego ziemniaka. Przywołano ogrodnika, który objaśnił pana, że te kulki były pod rośliną z Ameryki przesłaną. Dopiero teraz oczy się wszystkim otworzyły; zebrano ziemniaki ze ziemi, ugotowano, na nowo gości sproszono, i teraz nowa potrawa smakowała wszystkim znamienicie.

Hiszpanie dowodzą, że u nich były ziemniaki daleko prędzej, aniżeli w Anglii. Czasem z nazwiska można dójść, zkąd co pochodzi. W starych aktach pruskich ziemniaki są nazwane »tartufle«; akta pisane są 1475. Nazwa ta pochodzi zapewne od »tartufi«, »tartufoli.« Tak nazywają Włosi grzyby trufle, trufelki u nas zwane. Z tego widać, że do Niemiec dostały się ziemniaki z Włoch, bo Niemcy nazywają je »kartofle.« Z początku chodowano je w ogrodach jako roślinę zamorską dla cie-

kawości i nauki. Niejakiś Gesara w Londynie uprawiał ich już więcej roku 1598. Na stole królewskim w Paryżu jedzono ziemniaki r. 1616. Do środkowych Niemiec, do Westfalii itd. dostały się ziemniaki r. 1640, do Berlina o dziesięć lat później. Do Badenii i Bawaryi zawitały ziemniaki dopiero roku 1716. W Hiszpanii i Portugalii już przed ziemniakami znano, chodowano i spożywano podobną roślinę, lecz pnącą się. Owoce jej też są pod ziemią i nazywają się Batates. Hiszpanie i Portugalczycy wolą do dziś swoje Batatesy, aniżeli kartofle, które do nich się dostały przez Anglików.

Ludwik XVI, król francuski, nosił kwiat ziemniaków jako ozdobę na piersiach, a królowa miała we włosach na balach dworskich również kwiat ziemniaków, i wszyscy jej zazdrościli, bo to tylko królowa mogła mieć taką rzadkość. Dopiero, kiedy powstał głód we Francyi, ziemniaki się rozpowszechniły w kraju. Wyznaczono nagrodę za pożywienie w miejsce zboża. Wtenczas pewien aptekarz radził sadzić ziemniaki, a rząd wyznaczył mu 50 morgów na próbę, która się udała, z czego się król cieszył, uściskał aptekarza, wołając: »wynalazłeś chleb ubogich.« Lecz chłopi nie chcieli nic wiedzieć o ziemniakach, bo oni nie lubią żadnych nowości. Wtenczas aptekarz, a nazywał się Parmentier, wziął się na taki sposób: Ogłosił, że ziemniaki jego są dojrzałe, lecz że to ogromnie kosztowny owoc, dla tego uzyskał u rządu prawo, że kto ukradnie choć jeden ziemniak, to podwójnie karanym będzie. Owoc zakazany zasmakował, chłopi kradli ziemniaki, jedli i sadzili takowe i znowu kradli.

W Niemczech też nie bardzo wierzono ziemniakom, każdy mówił: jakiś nowy owoc, nie chcę go, wolę się żywić po dawnemu. Miejscami chłopi i w nocy wygrzebywali ziemniaki nowo zasadzone, aby nowej mody nie wpuścić w kraj. W Prusach najpóźniej ziemniaki zaczęto sadzić. Pewien obywatel w Kołobrzegu tak opisuje dzieje ziemniaków w Pomeranii: Byłem małym chłopcem, bo miałem może pięć lat, kiedy wielki głód u nas zapanował; wiele ludzi umierało z głodu, zboże było nie do zapłacenia. W roku następnym król miastu zrobił podarunek nieznany. Wielki wóz ze ziemniakami przyjechał na rynek i wywołano, bębniąc w mieście i na przedmieściach, aby każdy obywatel, posiadający ogród, stawił się o pewnym czasie przed ratusz, i że tam otrzyma podarunek od króla. Można sobie wyobrazić, jaki to ruch zrobił się pomiędzy ludźmi, każdy był ciekawy, jaki to podarunek królewski otrzyma. Kiedy się wszyscy zebrali, pokazali rajcy miejscy nowy owoc, którego dotychczas nikt nie był widział. Zarazem pouczono, jak się ziemniaki sadzą, pielęgnują, zbierają, gotują, przechowują. Byłoby lepiej, gdyby było rozdano tę naukę o ziemniakach drukowaną, bo w rozruchu nikt nie uważał, co mówiono. Ludzie brali nowy owoc do ręki, wąchali, nagryzali, lizali, jeden podawał drugiemu, kiwając głową, łupano je i dawano psom, które powąchawszy odeszły. Teraz i ludzie zaczęli wołać: to ani pachnie, ani nie ma smaku, pies tego niechce, cóż nam to pomoże. Niektórzy mówili, że z tego wyrosną drzewa, a na nich ziemniaki jakby jabłka. Tymczasem jednak rozdano ziemniaki każdemu według tego, ile roli posiadał, lecz i najmniejszy dostał przynajmniej meckę. Mało kto zrozumiał, jak to się ze ziemniakami trzeba obchodzić, niektórzy porzucili wszystko na gnój, inni znowu zupełnie fałszywie sadzili, byle gdzie, już się nic nie troszcząc o to, co z tego będzie. Niektórzy wysypali wszystkie ziemniaki na kupkę i przysypali ziemią. Naturalnie ziemniaki się zrosły i nic z nich nie było. Na drugi rok król znowu przysłał taki podarek. Lecz teraz radni lepiej sobie postąpili, bo sprowadzili, czy też król przysłał, Szwaba, który już się umiał obchodzić ze ziemniakami i który ludziom pokazywał naocznie, jak mają robić.

W Nassawii najpierw otrzymał ziemniaki pewien profesor, posadził je w doniczki i postawił w oknie pomiędzy kwiaty. Z początku ziemniaki tylko na stołach szlachty się ukazywały. Całe sto lat trwało, nim się ziemniaki rozpowszechniły, nim się poznano na ich wrastości. Chłopi najpierw je sadzili w ogrodach i tylko w Niedziele jadali. Niektórzy nie śmieli sami jeść, lecz dawali bydłu, i to jeszcze ze strachem, aby się snać bydło nie potruło. Nie umiano też ziemniaków przechowywać, powyrastały przez drzwi i okna piwnic. W niektórych okolicach poznano ziemniaki dopiero roku 1770 i później.

3. Ziemniaki są rośliną. Roślin zaś są różne gatunki, a ziemniaki liczą się do roślin bulwiastych, miejscami nawet nazywa lud ziemniaki bulwami. Jeżeli się rozłupi łęt ziemniaka, to zobaczysz, że takowy ma rdzeń i korę. Pomiędzy rdzeniem a korą znajdują się włókna, jak u drzew naszych. Przez te włókna bulwa w ziemi rośnie, grubieje. Włókna składają się z komórek, których liczba i objętość się powiększa, przez co i rdzeń i łęty grubieją. W komórkach blisko kory jest wiele krochmalu, w komórkach rdzenia mało tego. Łupina ziemniaków, mianowicie wewnątrz, i droga, która prowadzi do oczek bulwy, nie mają krochmalu, lecz inne soki. Bulwa ziemniaka ma dla tego tyle pożywnej wartości, ponieważ ściany komórek w bulwie są bardzo delikatne, pęcznieją w gorącej wodzie i w parze, przez co stają się strawne dla żołądka. Takie przymioty znajdują się u bardzo mało roślin.

Jak budowa bulwy ziemniakowej różni się od innych roślin, podobnie i wzrost odbywa się odmiennie. Łęty powstają i nikną przez trzy do siedmiu miesięcy, bulwy zaś trwają prawie rok aż do nowych. Ziemniak jest bulwiastym końcem rośliny, łętu. O tem można się przekonać, zważając na to, w jaki sposób

powstaje ziemniak. Każdy ziemniak ma na wierzchu dołki, jeden do trzech. Przy kiełkowaniu pączki się przedłużają, powstaje łęt, początkowo pokryty małemi łuskami. Korzonków jeszcze nie ma, bo młody łęt bierze pożywienie nie ze ziemi, lecz z bulwy mączytej. Dopiero później ukazują się korzonki z łętu łuskowatego. Poznać je po tem, że nie mają łusek, i że rosną na dół, ku ziemi, i stają się więcej cienkimi przy końcach. Łęt łuskowaty pozostaje zawsze pod ziemią, dopiero kiedy wychodzi ponad ziemię, dostaje liści. Łęt jest więc inny w ziemi, a inny ponad ziemią. Łęt liściaty rozrasta się i wypuszcza łęt kwiatowy i kwiecie. Z kwiecia wreszcie powstają jagody, a skoro dojrzeją, to i łęt ponad ziemią skończył swoje zadanie i więdnie. Łęt podziemny także się krzewi, a przedłużone gałązki leżą horyzontalnie. Mają też małe łuskowate listeczki. Z kącików tychże listeczków znowu wychodzą gałązki, które albo zaraz, albo skoro się nieco przedłużą, przy końcu grubieją bulwiasto. Z tego rosną ziemniaki. Z początku ziemniaczki mają łuskowate listeczki, które jednak obumierają, skoro ziemniak rośnie, w końcu ich wcale nie widać. Podziemne gałązki mają łuski tylko z początku. Gdzie na małej bulwie stał listek łuskowaty, tam powstaje na wyrośniętym ziemniaku dołek zawierający pączki.

W ojczyźnie swej amerykańskiej ziemniaki pozostają w ziemi przez zimę. Łęty nad ziemią więdną, tak samo i pod ziemią aż do bulwy, które żyją dalej w ziemi, a na wiosnę wypuszczają na nowo. My tego nie możemy robić z powodu mrozu.

Z bulwy więc wychodzą pączki łętów ziemniakowych. Łęty liściate wydają pączki zimowe. Łęty trwają rok, a bulwa dwa lata. Gdzie z łęta wychodzą liście, jest takowy grubszy. Mają też łęty ziemniakowe małe włoski skrzywione w górę.

Kwiat ziemniakowy stoi na długiej łodydze, wyrastającej z kąta liści. Liczba kwiatów jest różna, jedna część zwykle skłania się na prawo, druga na lewo, i tworzą grono kwiatów. Kwiaty dolne są dłuższe i stają się coraz krótsze ku czubkowi. Kielich kwiatu ma 5 listków, które mają u góry długi wąski koniec, wszystko jest pokryte białymi włoskami. Korona kwiatowa jest biała, różowa, fioletowa, czasem blado niebieska. W środku kwiatu stoi 5 naczyń pyłkowych, które mają na nitkach pyłkowych wielkie żółte torebki pyłkowe, a w środku wznosi się zielona ścieżka pyłkowa z małą okrągłą blizną. Węzełek owocowy, w którego środku stoi ścieżka pyłowa, staje się okrągłym po okwitnięciu, a w końcu tworzy zieloną jagodę, w której jest wiele nasienia.

Ziemniak należy do rodziny roślin, nazywających się po łacinie »Solanum«, pianka. Rośliny tego rodzaju są bardzo liczne i jadowite. Ziemniaków też jest już znanych 1000 gatunków, 600 z nich są przydatne do jedzenia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Kamieniec Podolski. Miasto stołeczne województwa podolskiego leży nad rzeką Smotrycz, która, tworząc znaczny zakręt, oblewa miasto prawie naokoło, od zachodu tylko wąskie zostawiając przejście; w tem zaś wystawiony był od dawnych czasów warowny zamek, aby wszelki i z tej strony nieprzyjacielowi utrudzał przystęp. Samo miasto, w ten sposób rzeką oblane, spoczywa na wysokiej i prostopadle wznoszącej się skale, a prócz tego jeszcze otoczone murem i basztami słusznie uchodziło za niezdobytą warownią. Przy każdym też najeździe Tatarów lub Kozaków uciekali tu dotąd okoliczni mieszkańcy, jako do najpewniejszego schronienia, gdyż przy każdej prawie od południa wojnie Kamieniec pierwszego nieprzyjaciela na polskiej ziemi oglądać musiał. Roku 1509 oblegał go Bohdan, wojewoda multański. Roku 1621 Osman, sułtan turecki, w 50,000 wojska stanął pod jego murami. Puszczane kule z dział z powodu wielkiej odległości dosięgnąć miasta nie mogły; każde zaś bliższe posunienie się rzęsistym odpierane było ogniem. Wtenczas to, jak pisze Piasecki, rozgniewany Osman, przypatrując się obronnej miasta posadzie, zapytał Wezyra: »któż tę skalistą twierdzę postawił?« — »Sam Bóg,« odpowiedział Wezyr. Przez lat 27 był Kamieniec w ręku tureckim i dopiero roku 1699 na mocy traktatu karłowickiego odzyskał August II miasto i twierdzę kamieniecką narodowi polskiemu. Komendant turecki, oddając twierdzę Marcinowi Kątskiemu, generałowi artyleryi, i okazując prochy w lochach podziemnych, zapalił lont i chciał jednem poruszeniem ręki siebie, polskiego generała i całą twierdzę w powietrze wysadzić. Wtenczas Kątski, z niesłychaną przytomnością zachwyciwszy lont, zagasił go i przez to ocalił siebie i miasto. Nareszcie roku 1793 przy drugim podziale Polski przeszedł Kamieniec pod panowanie rosyjskie. Kilka napisów, pozostałych na dawnych murach zamkowych, przywodzą na pamięć niektóre wypadki z dziejów kamienieckich, osobliwie zaś odzyskanie Kamieńca od Turków i odnowienie zamku przez ostatniego króla polskiego. Za dawnych polskich czasów odsyłano tu więźniów, na całe życie do robót skazanych. Kamieniec był także mieszkaniem

wojewody i kasztelana większego, a starosta tutejszy był zarazem generałem podolskim.

Miasto Kamieniec odznaczało się zawsze przez wielość murowanych domów, brukowane ulice, piękne kościoły i dla tego miało zawsze pierwszeństwo pomiędzy miastami drugiego rzędu. Z gmachów kościelnych na szczególniejszą zasługuje uwagę kościół katedralny obrządku łacińskiego. Kościół Dominikanów bardzo starożytny, a fundacyą jego odnosi tradycya do książąt Koryatowiczów. Pierwiastkowy kościołek drewniany zgorzał roku 1429, a Dominikanie częścią z własnych funduszów, częścią ze składek wymurowali nowy; ten po roku 1596 nakładem Potockich i Hamieckich rozszerzony i pobocznemi kaplicami powiększony został. Turcy przeznaczyli świątynię tę na meczet, zbudowali kazalnicę filigranową robotą, nakształt koronki kamiennej, i ta po dziś dzień znakiem krzyża poświęcona stanowi najpiękniejszą ozdobę kościoła.

Oblicze Zbawiciela. Naturalną jest rzeczą, że prawy chrześcianin chętnieby wiedział, jak wyglądała postać człowieka, w którą się wcielił Syn Boga, Zbawiciel, mianowicie jak wyglądała twarz Boga — człowieka. Obrazów postaci ludzkiej Zbawiciela jest nader wiele, lecz nie ma żadnej pewności, czy jaki obraz odpowiada rzeczywistości. W pierwszych czasach nie malowano, ani nie rzeźbiono postaci Zbawiciela, ponieważ jeszcze panowało pogaństwo, uważające posągi bożków jako prawdziwych bogów. Chrześciaństwo przypominało ludziom, że Bóg jest duchem. Dla tego unikano przedstawiać postaci Zbawiciela, aby snać lud nie czcił obrazu zamiast Zbawiciela w sposób pogański, bałwochwalczy. Prawdziwy chrześcianin ma poszanowanie dla obrazu, lecz myśli o samym Zbawicielu w niebie i w sakramencie przenajświętszym. Później, kiedy już pogaństwo upadło, przedstawiano na obrazach i w posągach postać ludzką Zbawiciela, lecz ponieważ już nie było takich, którzyby go widzieli, dla tego bardzo różne są te wyobrażenia, różne u rozmaitych narodów i malarzy. Do najstarszych obrazów Zbawiciela należy obraz nazwany św. Weroniki, jaki na rycinie widzicie. Podanie niesie, że św. Weronika podała chustkę Zbawicielowi krzyż dźwigającemu ku starciu potu, a kiedy otrzymała chustkę napowrot, znajdował się na niej wizerunek twarzy bolesnej Zbawiciela. Inni opowiadają, że ta chusta dana została niewieście, cudownie od krwiotoku uleczonej. Inni znowu twierdzą, że nie ma mowy o żadnej niewieście, lecz że »weronika« znaczy po grecku »prawdziwy obraz.« W Rzymie, w kościele św. Piotra, znajduje się osobny ółtarz »chusty św. Weroniki,« w którym chowają chustę z obliczem Zbawiciela. Lecz i w Medyolanie i w Jaen twierdzą, że mają tę chustę. Jakkolwiek bądź, obraz jest bardzo piękny i zdolny pobudzić nas do tego, abyśmy sobie przypomnieli Zbawiciela duszy naszej, jego mękę, przyczynę męki t. j. grzechy, wielkie łaski oświecenia rozumu i oczyszczenia serca, jako i cel dzieła odkupienia, którym jest to, aby dusza nasza doszła po śmierci ciała do Boga, niebieskiej wieczności. Dla tego służyć ma nam każdy obraz Boga-Człowieka, a obraz nazwany świętej Weroniki bardzo do tego przydatny, dla tego słuszną jest rzeczą, że znajdujemy tenże obraz często na ścianach domów katolickich. Oby obraz był na ścianie, a ten, którego obraz przypomina, Chrystus Pan — w sercu i życiu naszem.

Dom, w którym się urodził teraźniejszy Papież Leon XIII 2 Marca 1810 r. Co się tyczy wielkich ludzi, to wszystko zajmuje uwagę innych. A obecny Ojciec św. jest wielkim duchem, to nawet uznają przeciwnicy kościoła katolickiego. Leon XIII urodził się w Karpineto we Włoszech. Rodzice jego byli zamożnymi wieśniakami (gburami). W kościele katolickim nie ma względu na to, z jakiego stanu kto pochodzi, ani czy jest bogatym, lecz czy jest cnotliwym i czy ma naukę. Kto posiada te dwa przymioty, to może dojść do najwyższych godności. Czego nowym dowodem jest obecna głowa kościoła katolickiego.

Kościół katolicki jest więc prawdziwie liberalnym i postępuje sobie tak na ziemi, jak Bóg będzie postępował sobie z nami poza ziemią, bo »u Boga nie ma względu na osobę,« tylko na uczynki, na serce, na wartość wewnętrzną. Gdyby wszyscy ludzie tak postępowali, byłoby też lepiej na świecie, gdyby nie zważano na to, czy kto jest wysokim urzędnikiem, czy panem, czy bogatym, czy robotnikiem, czy ubogim, czy szlachcicem, księciem, hrabią, czy chłopem. Gdyby na te zewnętrzne sprawy, przemijające, nie zważano, i szanowano, kto jest cnotliwy i poczciwy, gdyby zdaleka się trzymano i nie obcowano z tym, kto sobie nieuczciwie postępuje w jakikolwiek sposób, choć wysoko stoi lub jest bogatym, toby niejeden był lepszym, cnota nabrałaby i w oczach ludzi więcej wartości, a wysoki stan i bogactwa nie byłyby fałszywie cenione, nie dodawałyby ludziom wartości pozornej, ułudnej, bo w rzeczywistości wysokie stanowisko i bogactwo człowieka więcej wartym nie robią. Rzeczywistą wartość człowiekowi nadaje serce i głowa, cnota i nauka.

Ojciec ś. Leon XIII cnotę wyniósł z domu chłopskiego rodziców swoich, a o naukę postarali się jego rodzice i on sam. Uczył się w Rzymie, został kapłanem i wnet sprawował różne ważne urzędy, a w roku 1846 został arcybiskupem w Perugii we Włoszech i kardynałem, lecz godność kardynalską potwierdził mu dopiero Pius IX r. 1853.

Roku 1877 został kardynał Joachim Pecci (tak się rodzice jego nazywali) papieskim Podkomorzych, a po śmierci Piusa IX prowadził

sprawy, jakie Papież ma w ręku, wreszcie 20-go Lutego 1818 roku kardynałowie obrali go głową Kościoła. Co zdziałał i jak działa Leon XIII, to wszyscy wiemy, mianowicie wiemy, jak działa w sprawach spółecznych, robotniczych, w których jako »światło niebieskie« wskazuje drogę wszystkim.

Mikołaj Aleksandrowicz (t. j. syn Aleksandra), następca tronu rosyjskiego, urodził się roku 1868. Na zewnątrz tak wygląda, jak go przedstawia obrazek (na str. 313), jakim jest wewnątrz, o tem nie wiele słychać, bo w Rosyi straszna niewola, nie wolno pisać, coby się chciało, choćby prawda była, a mianowicie o carze i jego rodzinie to już ani pisnąć chyba ubóstwiać można. Niedawno carewicz zwiedził kawał światu, Indye, Chiny, Japonią, a potem całą Syberyą. Czy się czego dobrego nauczył, też nie wiedzieć. Byłoby potrzeba, aby się



ŻÓŁW. (Zobacz objaśn. rycin na str. 318.)

nauczył dobrze panować, po chrześciańsku, bo Rosya to największe państwo w Europie. Niestety dotąd rządy są najgorsze tam, najmniej wolności religijnej i innej, najwięcej prześladowania. Staraliśmy się o to, aby »Światło« można rozszerzać pomiędzy Polakami pod panowaniem rosyjskiem, lecz nie pozwolono, bo rząd rosyjski i cary rosyjskie boją się »Światła«, a lubią lud w ciemności utrzymywać, a szkoda ludu, bo lud dobry.

Rodzina carów nazywa się Romanow. Pierwszym carem z tej rodziny był Michał Feodorowicz, który zaczął panować 1613 roku. Później carowie, żeniąc się z niemieckiemi księżniczkami, rodzinę carów zniemczyli na poły albo więcej. Mówią, że następca tronu ożeni się z księżniczką grecką. Taki jest zwyczaj u panujących, że tylko z rodzin panujących żony biorą, boć i gbur tylko gburskiej córy szuka.

Żółwie, rząd gadów, odznaczający się ciałem, zamkniętym w pancerzu kościstym, pod którym mogą po większej części chować głowę, nogi i ogon. Pancerz ten jest z dwu części złożony, grzbietowej wypukłej, zwanej puklerzem, i brzusznej płaskiej, zwanej tarczą, mocno z sobą na obu bokach połączonych, tak zostawiają tylko otwór od przodu na głowę i nogi przednie, od tyłu na nogi tylne i ogon. Cały pancerz okryty jest grubym zrogowaciałym naskórkiem, podzielonym na wielkie tablice (szyldkret); skóra właściwa, leżąca pod naskórkiem, kostnieje mniej lub więcej zupełnie, stanowiąc tak zwany szkielet skórny, zrastający się całkowicie z kośćmi skieletu wewnętrznego, a mianowicie na grzbiecie z kręgami stosu i z żebrami. Tarcza w wyższym jeszcze stopniu przedstawia to zlanie się kości skórnych z kośćmi szkieletu wewnętrznego. Żółwie przedstawiają pod wielu względami znaczne w organizacyi swojej zbliżenie do krokodyli, pokrytych także w części tarczami skostniałemi, do układu szkieletu skórnego należącemi, oraz pod względem przyrządu rozrodczego, a jaja żółwi, podobnie jak i krokodyli pokryte są skorupą wapienną. Oczy mają opatrzone powiekami, ucho zewnątrz niewidoczne, skóra po częściach ciała ruchomych pokryta łuskami. Wszystkie żółwie mają obie pary nóg, lecz w poruszeniach swoich są bardzo powolne. Żółwie dzielą się na 5 rodzin: 1) *Żółwie morskie* mają nogi przednie znacznie dłuższe od tylnych, zupełnie pletwiaste, t. j. wiosłowato spłaszczone i powleczone skórą, o palcach wcale niewidocznych i zwykle bezpazurowych; pancerz ciasny, z wierzchu mało wypukły, mniej niż u innych skostniały, żebra w końcach wcale niezrosłe, tarcza pośrodku nieskostniała. Żyją w klimatach cieplejszych, pływają i nurzają się wybornie, karmią się roślinami morskiemi, oraz rakami i mięczakami. Zapładnianie odbywa się w wodzie, jaja składają na lądzie, w dołach. Młode po wykluciu dążą natychmiast do wody. Dorastają znacznej wielkości, dochodzą kilku centnarów wagi i są przedmiotem polowania tak dla mięsa, jak i dla szyldkretu. Gatunki ważniejsze są: *Żółw morski jadalny*, koło Japonii i Brazylii, dorasta 6 stóp długości i 8 cent. wagi; mięso bardzo poszukiwane, służy do otrzymywania słynnej zupy żółwiowej. Żółw morski *karet*, od popr. o połowę mniejszy i daleko pospolitszy, mięso ma niesmaczne, dostarcza szyldkretu pośledniejszego. Żółw *szyldkretowy* przebywa w morzach podzwrotnikowych, głównie w Oceanie Indyjskim, dostarcza najlepszego szyldkretu. Żółw *skórzany*, największy z żółwiów morskich, dorasta 8 stóp długości 10 cent. wagi, żyje w Oceanie Atlantyckim i in., ale rzadko się pokazuje; pancerz jego jest pokryty jednostajną warstwą skóry miękkiej. 2) *Żółwiaki*, mają pancerz niedostatecznie skostniały i szyję długą, wciągalną, szczęki na krawędzi

powłoką rogową, od zewnątrz wargą miękką otoczone. Są to zwierzęta drapieżne, żyjące w morzach i rzekach krajów gorętszych. *Trionyx ferox*, w rzekach Georgii i Karoliny, dostarcza dobrego mięsa. 3) *Żółwie płazowate*, mają pancerz więcej lub mniej sklepiony i skostniały, zrosły z tarczą piersiową i pokryty taflami rogowemi. *Matamata*, ma głowę szeroką i płaską, nos ryjkowato wydłużony, pod pyskiem i szyją wiszą miękkie, strzępiaste płatki; w ogóle ma postać dziwaczną, jest dwa razy większy od naszego żółwia błotnego, żyje nad rzekami Ameryki północnej. 4) *Żółwie błotne*, mają pancerz płaski, tarczę piersiową zwykle małą, oboje doskonale skostniałe; nogi grube, palce ruchome, połączone błoną. Pływają wybornie, zręcznie także poruszają się na lądzie i przebywają przeważnie w wodach wolno płynących, błotach i stawach; jaja składają w doły w pobliżu wód. Żywią się głównie zwierzętami wodnemi. Jestto najliczniejsza rodzina żółwiów, do której należy jedyny u nas przedstawiciel żółwi, *wodożółw*, najdalej na północ idący; czarny z żółtemi kropkami, promienisto ułożonemi, dorasta stopy długości; przypisują mu głos świszczący, który jednak wydaje w tychże miejscach przebywająca kokoszka wodna. Liczne gatunki żyją w Ameryce, gdzie ich jaja poszukiwane są na pokarm i do palenia. *Żółw jaszczurowaty*, odróżnia się ciałem podłużnem i długim ogonem; pancerz bardzo szczupły nie pokrywa całego ciała; dorasta 4 stóp długości, żyje w wodach stojących Ameryki północnej. 5) *Żółwie lądowe*, mają pancerz sklepisty, skostniały, połączony z również skostniałą tarczą piersiową; oboje pokryte taflami rogowemi. Głowa i nogi są zupełnie wciągalne; nogi słoniowate, o podeszwach obrzmiałych, palcach krótkich, nierozdzielnych i nieruchomych, z pazurami krótkimi. Zamieszkują wilgotne i zarosłe okolice klimatów ciepłych i gorących i żywią się roślinami. W Europie na pobrzeżu morza śródziemnego żyje żółw *grecki*, szaropłowy, brunatno plamisty, dorasta 1 stopy długości, mięso jego jest jadalne, hodują go w ogrodach dla wytępiania robactwa. W południowej Afryce i Indyach żyje żółw *geometryczny*, odznaczający się regularnie ułożonemi liniami żółtemi na tle czarnem.

PRAKTYCZNE RADY.

— **Do odpolirowania mebli** używa się olejek migdałowy i czysty spirytus winny w równych częściach. Maczać trzeba w tym płynie miękkie płatki, pocierać meble, a potem innym czystym dobrze wycierać; im dłużej się trze, tym połysk ładniejszy.

— **Nowy sposób użyzniania roślin doniczkowych.** Aby kwiaty w doniczkach pięknie, świeżo wyglądały i kwitły obficie, dolewa się do wody, której się do podlewania używa, na litr naparstek winnej okowity (Weingeist). Jeżeli się środka tego używa dwa razy na tydzień, niedługo się okaże widoczny skutek.

— **Na skorbut i niemiły zapach z ust.** Wziąść starego utartego chrzanu i namoczyć na 24 godzin w winie francuzkiem białem: codziennie tem usta płókać należy.

— **Lekarstwo na ból zębów.** Wziąść dobrego, suchego drzewa dębowego mały kawałek, upalić go na czerwony węgiel i wrzucić do kieliszka wina czerwonego; tem się płócze usta, trzymając to bardzo skuteczne lekarstwo, jak można najdłużej, ze strony bolącego zęba.

— **Na kaszel.** Zaparza się pół kwartą wody garść owsa, przecedza i wypija dziennie 4 lub 5 filiżanek tego płynu, do każdej dodając łyżeczkę miodu.

— **Środek na oparzenie.** Na jedną łyżeczkę dobrego, tęgiego octu, bierze się 12 łyżeczek wody i wtem rozpuszcza się zwyczajną kredę aż do gęstej śmietany. Masa zaczyna szumieć, wtedy pędzelkiem lub piórkiem smaruje się oparzone części. W jednej chwili ból ustaje. Obwinąć następnie watą.

— **Wzmacniający napój dla ptactwa.** Podług jednej z gazet angielskich trzy strączki pieprzu Kayenny (dostać można w aptece) rozgnieść i dwiema kwartami wrzącej wody naparzyć. Do tego rozczynu dolać jeszcze 6 kwart wody i ów napój ptactwu do picia podawać. Ma to chronić ptactwo, zwłaszcza jesienią, nietylko od chorób, lecz także do wzrostu i do noszenia jaj ma się przyczyniać.

— **Na zaraźliwe choroby u kur.** Jeden z praktycznych hodowców w czasie pojawienia się tej choroby zaleca użyć kwiatu siarczanego, zmięszanego z pokarmem, a zadawanego dwa razy tygodniowo w ilości jednej łyżeczki od kawy na 24 kur.

Oprócz tego zaleca jednak ciągle dodawanie do pokarmu proszku z węgla drzewnego.

Środkami temi leczy się często z dobrem powodzeniem tak zwaną cholerę kurzą i inne przypadłości epidemiczne, wyniszczające nieraz całe stada.

ROZMAITOŚCI.

* **Stary marynarz.** Najstarszym człowiekiem, który stoi na liście pensyjnej Stanów Zjednoczonych, i to na liście chicagoskiego naczelnika pensyjnego Isaaka Clement, jest Jack Haines, liczący lat 103. Był żołnierzem na flocie Zjednoczonych podczas wojny w roku 1812, a stał pod rozkazem jenerała Jackson, gdy ten pobił Anglików pod New Orleans. Jego pensya została w tych dniach podwyższona z 8 na 12 dolarów. Obecnie znajduje się Haines w zakładzie dla weteranów w St. Louis.

* **Ludność świata** stwierdza profesor dr. v. Juraschek, iż spisy ludności, dokonane w końcu roku 1890 i na początku 1891 roku w większej części krajów europejskich, w Indyach i w Stanach Zjednoczonych, wskazuje znaczny wzrost ludności na kuli ziemskiej. W roczniku za rok 1890 ludność ziemi oznaczona była cyfrą 1515,8 milionów, obecnie wszakże jest 1554,5 mil. ludzi, przyczem na kilometr kwadratowy przypada 11—12 ludzi. Liczba mieszkańców w pojedyńczych częściach świata przedstawia się, jak następuje: Europa 358,2 milionów — 36,9 na kilometr kwadratowy; Azya 860,3 milionów — 19,3 na kilom. kwadratowy; Afryka 206,1 milionów — 6,9 na kilom. kwadr.; Ameryka 124,5 miliony — 3,3 na kilom. kwadratowy; Australia 5,3 milionów — 0,59 na kilom. kwadratowy; w strefie podbiegunowej 80,000 ludzi na 4,5 kilom. kwadratowych.

* **Największe organy na świecie** ustawiono w kościele Świętego Franciszka w Nowym Jorku w Ameryce. Zajmują one olbrzymi budynek, dotykający do świątyni. Miechy w ruch są wprawiane przez machinę, poruszoną wodą; instrument posiada 13 pedałów i 4,880 piszczałek. Organista gra na 80-ciu klawiszach. Przy robocie i ustawieniu organów zajęto przeszło 200 robotników. Sztukateryi olbrzyma tego dokonał nasz rodak Józef Rzuciński z miasta Albany w Ameryce.

* **Bogactwo dawnych panów polskich.** Dawniej polscy panowie byli niezmiernie bogaci. Jeden z Radziwiłłów miał tak wielki szczerozłoty dukat, jak koło od woza. Dziwili się bardzo cudzoziemcy, kiedy polski pan, książę Radziwiłł, jeździł z swym dukatem po obcych krajach; gdzie swe złote koło pokazał, wszędzie mu natychmiast pieniędzy pożyczali. Radziwiłłowie mieszkali na Litwie w Nieświeżu. Karól Radziwiłł, wojewoda wileński, własnym kosztem utrzymywał 10,000 wojska na swym dworze w Nieświeżu. W skarbcu swoim miał 12 apostołów, ze szczerego złota lanych, a każdy apostół miał łokieć wysokości. Tysiące innych kosztownych i rzadkich miał sprzętów; miał stoły lane ze srebra; miał niezmiernie bogaty namiot turecki, zabrany wielkiemu wezyrowi pod Wiedniem za króla Jana Sobieskiego. Skarb ten zabrali Moskale Radziwiłłowi, gdy Polskę rozebrali.

* **Filip z konopi.** Za króla Kazimierza, Olbrachta i Aleksandra żył we wsi Konopie wielki wojak Filip, który przez 40 lat bił Tatarów, Turków i Wołochów. Po wojnach osiadł na swej wsi. Pewnego razu pojechał na sejmik, gdzie to trzeba mieć mądrą głowę a dobrze radzić. Ale pan Filip z Konopi umiał tylko dzielnie Turka bić, ale nie mądrze radzić. Na sejmie rozprawiają, aż tu wyrywa się pan Filip z Konopi, i wcale o czem innem prawić pocznie, o czem mowy nie było. Wszyscy w śmiech, a ktoś zawołał: „Któż tam taki się wyrwał?“ Sąsiedzi krzyknęli: „To pan Filip z Konopi.“ I od tego czasu poszedł pan Filip z Konopi w przysłowie, a kiedy teraz kto coś niedorzecznego powie, to mówią: „Wyrwał się jak Filip z Konopi.“

FRASZKI.

DOBRY LEKARZ.

Lekarz: Czy dziś panu lepiej?

Chory: Ach, panie doktorze, coraz mi gorzej.

Lekarz: A czy dawno pan tak choruje?

Chory: Od kiedy mnie pan doktor zaczął leczyć.

—∞—

Sędzia: Więc oskarżony usiłował śpiącemu w polu Maciejowi Sojce ukraść leżący obok pakunek.

Oskarzony: Co to jest ukraść? Znalazłem leżącego człowieka i pakunek. Pakunek podniósłem, a człowieka zostawiłem leżącego.

—∞—

ŁAGODZĄCE OKOLICZNOŚCI.

Sędzia: Przyznajesz więc, że ukradłeś gospodarzowi ze sklepu 5 butelek wina, czy możesz podać jakie łagodzące okoliczności?

Oskarżony: Tak jest, proszę prześwietnego sądu.

Sędzia: A jakie?

Oskarżony: Że tego kwaśnego wina pić nie było można.

—∞—

— Aj, ci uczeni, ci uczeni! — rzekł Marcin do Marcina — pomyśl sobie tylko, oni już naprzód wiedzą, kiedy ma być zaćmienie słońca i księżyca.

— Ej! głupi jesteś, — odpowiedział ten drugi Marcin — cóż to znowu tak wielkiego? Oni przecie to wiedzą z kalendarza.

—∞—

Żołnierz stojący na pikiecie w czasie wojny, położył się i zasnął, podczas gdy jego towarzysz czuwał. W tem nadbiegła kula armatnia i odcięła śpiącemu głowę.

— Do krocset granatów! — rzekł czuwający żołnierz — to się dopiero biedak zdziwi, jak ocknie, że nie ma już głowy.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Zaproszenie do przedpłaty na 4-ty kwartał 1891.

Przyznają ogólnie, że takie pismo, jak „Światło“ jest potrzebne ludowi polskiemu, jak i nie mniej, że „Światło“ właściwie jest redagowane. Gdy tak jest, czem sobie wytłomaczyć, że w 5 blisko latach swego istnienia nie zdołało sobie zjednać takiej liczby czytelników, aby je bez strat wydawać można? Niczem innem, jak obojętnością polskiego społeczeństwa. Wydawnictwo „Katolika“ nie zaniedbało niczego, aby Polaków o „Świetle“ powiadomić; poleca je we wszystkich prawie gazetach przez osobne dodatki i ogłoszenia.

Mimo to nie zdołało przełamać obojętności. Jestto rzeczą nader smutną, że lada świstek niemiecki ilustrowany łatwiej nawet między Polakami się rozszerzy, aniżeli w duchu katolickim i polskim redagowane pismo dla rodzin polskich. Nie wymagamy zbyt wiele, ale na 3 miliony Polaków w Prusiech mogłoby być więcej, aniżeli 1500 czytelników! Znaczy to bowiem, że obecnie z pomiędzy każdych 2 tysięcy Polaków zaledwie 1 Światło czyta.

Mimo to chcemy jeszcze próbować, czy nie przebijemy lodów obojętności i będziemy „Światło“ i nadal wydawać. Prosimy jednak wszystkich ludzi dobrej woli, którym na zdrowej oświacie ludu zależy, aby raczyli pismo nasze wspierać. Szan. Czytelników naszych zachęcamy do rozszerzania i polecania „Światła“ pomiędzy swymi znajomymi, bo czyniąc to, pracują na dobro współbraci.

Wydawnictwo „Katolika“ i Redakcya „Światła“
w **Bytomiu G.-Szl.** (Beuthen O.-S.)

ZAGADKA.

Widać mnie na górach wysokich,
W borach, dolinach głębokich;
Przytem jestem wszędzie znany,
W gminach, miastach potrzebowany,
Z kamieni i metalów budowany.
W domach, kościołach używany;
Panie szyje, ramiona mną ozdobiają,
Gdy uczty, uciechy, bale odprawiają;
I nad złoczyńcami także panuję,
Bo im ręce, nogi zwiążuję.
Odgadnijże miły Panie,
Co ukrywa me pisanie?

Rozwiązanie zagadki

z zeszytu 9-go:

ZAWADYAK.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: T. Jachowski i M. Szamborski z Jarocina; Jan Szusterkiewicz z Ponieca; Tadzio Stark z Oporowa; Rufin Pielatowski z Poznania; J. Grabański i A. Śmigierski z Czerska; Józ. Lepiorz z Roszowskiego Lasu.